

BLUSZCZ

Spoleczno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiety

ROK LX

WARSZAWA, DNIA 11 CZERWCA 1927 ROKU

NR 24

TREŚĆ NUMERU: Kobieta a uniwersytet — *Zofja Miszewska*. Pod znakiem skrzydlatego rumaka — *M. H. Szpyrkówna*. Wiersze: „Konie” — *Felicja Kruszevska*. Konie, jeźdźcy, publiczność na międzynarodowych konkursach hippicznych w Warszawie — *Stefanja Podhorska-Okołów*. Motyw księżycy (nowela) c. d. — *Herminja Naglerowa (J-a Stycz)*. Plantator z Malaty (c. d.) — *J. Conrad*. Nowoczesna Semiramida — *S. P. O.* Kobieta w świecie i w domu — *H. S.* Z wystaw — *I. j.* Z książek — *S. P. O.* O kinie — *Zygmunt Knothé*. Inowrocław — *W. D.* Odpoczynek po pracy codziennej — *L. Gerlachowa*. Konkurs wystaw sklepowych — *Pani Elżbieta*. Czerwiec w gospodarstwie domowym — *Pani Elżbieta*. Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Dobre rady. Korespondencje. Dodatek „Mody i roboty”: Modne drobiazgi — *Well*. Ogrzewacz na imbryk do kawy, lub herbaty. Dodatek powieściowy: „Rąbek zasłony” — *Colette Yver*, autoryzowany przekład *S. Ł.* Arkusz wzorów.

KOBIETA A UNIWERSYTET

Na pierwszy rzut oka wyda się może dziwnem, iż poruszam zagadnienie, które od dłuższego czasu weszło już w codzienność naszego życia, stało się nieledwie przepisem dobrego tonu, tak koniecznym do uzupełnienia typu młodej osoby „bardzo dobrze”, jak ongi konwersacja francuska i gra na fortepianie. Mówię tu o stosunku kobiet do wyższych studjów.

Sprawa ta ułożyła się tak przedziwnie gładko, bez żadnych tarć i załamów, tak jakoś łatwo weszła w kobiece życie, że aż zatraciła swą ważność, aż uczyniła niepotrzebną konieczność pomyślenia nad tym faktem, choćby na godzinę przed złożeniem podania o przyjęcie.

A jest to, jednak, zagadnienie nie małej wagi, tembardziej, że nie stoi ono na uboczu, ale wiąże się mocno z całokształtem nie tylko życia danej jednostki, ale i ruchu kobiecego.

Stosunek mężczyzn do wyższych studjów jest unormowany od dawna: układa się on prosto i jasno, bez żadnych wahań, czy odchyłań, tylko, że ta prostota nie wynika tak, jak u kobiet, z nieprzemyslenia, ale przeciwnie, z definitywnej postawy, jaką mężczyzna przyjął wobec pracy zawodowej. Młody człowiek, wstępujący na wyższy zakład naukowy, czy idzie tam z miłości wiedzy, czy też dla zdobycia lepszych warunków przyszłej pracy, zawsze wie, iż będzie miał możność całkowitego wykorzystania nabytych wiadomości, że nic nie będzie tamowało jego dążeń, ani aspiracji zawodowych.

Kobiety zaś wyszły z fałszywego założenia: równouprawnienie środków wzięły za równouprawnienie

celów,—i z tego względu dążą temi samemi linjami wytycznemi w swych aspiracjach naukowych, co i mężczyźni. Zasadniczy błąd, gdyż w stosunku do pracy zawodowej kobiety nie osiągnęły jeszcze równouprawnienia z mężczyznami. Zagadnienie, idealnie rozstrzygnięte w stosunku do mężczyzn, t. j. kwestja czystego zamięłowania wiedzy i praktycznego jej wyzyskania, u kobiet, szczególnie w pewnych gałęziach nauki, ulega jeszcze różniczkowaniu. Kobiety, wstępujące na uniwersytet tylko z zamięłowania do nauki, nie mogą wiedzieć, czy ten zasób prawd, jaki zdobędą, przyda im się w życiu praktycznem. Miłość ich do wiedzy, jest, jeżeli można się tak wyrazić, ściśle platoniczna, idealna, jest to ryzyko życiowe, i choć mocno wierzę, że wybitne zdolności, zawsze i pomimo wszystko, znajdą odpowiednie miejsce w życiu, sprawa jednostek przeciętnych jest zgóry przesądzona: zgina.

Inaczej zupełnie przedstawia się to zagadnienie w stosunku do kobiet, które, wstępując na uniwersytet, uważają naukę nie za cel, ale za środek do zdobycia lepszych warunków bytu. Dla tych szczególnie niebezpieczne jest trzymanie się drogi, wytkniętej przez praktyczność mężczyzn. Zwykły one patrzeć na swą przyszłą pracę przedziwnie ufnie i prosto, zapominając, że nie wszystkie drogi są przed niemi otwarte, (teoretycznie—wszystkie) i że nie każdy wydział na uniwersytecie zapewni im odpowiedni warsztat pracy.

Stosunkowo w najlepszych warunkach pod tym względem są kobiety, wstępujące na medycynę: lekarki

zdołały sobie szturmem zaufanie społeczeństwa, i praca ich może znaleźć niesłychanie rozległe zastosowanie.

Gorzej jest z wydziałem prawnym. Ustrój społeczny nie ma jeszcze zaufania do kobiecej sprawiedliwości i wymowy (dziwne!), lecz chcąc, mimo wszystko, być w porządku z nakazami postępu, pozwala kobietom przebyć wszystkie stopnie mądrości prawniczej, nie dając jej pola do pracy. O kobiecie - adwokatce mówi się u nas, jak o czemś zgoła nadzwyczajnym, o sędziowskim tytule wogóle się nie mówi, a tymczasem rok rocznie całe zastępy młodych kobiet otrzymują tytuł magistra praw, aplikują, zdają egzaminy aplikanckie, aby wkońcu ugrzęznąć w jakimś biurze, gdzie wiedza prawnicza jest zgoła zbędna.

I przez to dzieje się kobietom straszna krzywda: pozwala się im kroczyć zupełnie swobodnie drogą tego niby równouprawnienia, a gdy zbliżają się do celu, zatrzymuje ich groźne: — niewolno! A jakaż jest na to rada? Iechże bojowniczkami o prawa niewieście będą te kobiety, które nie są zmuszone samodzielnie borykać się z losem, dla których studia prawnicze będą tylko rozszerzeniem horyzontów w patrzeniu na budowę życia.

Teraz przejdę do sytuacji kobiet na wydziale filozoficznym. Obejmuje on sekcję humanistyczną i matematyczno - przyrodniczą i bodaj najbardziej ze wszystkich wydziałów uległ zalewowi kobiecego elementu. Na wydziale tym, bardziej niż na innych, rzuca się w oczy ostre zaznaczenie dwóch kategorii słuchaczy, a mianowicie: „naukowców“, że użyję tego, niezbyt szczęśliwego, terminu, oraz tych, — a jest ich większość, dla których szczytem marzenia jest karjera nauczycielska. O pierwszej kategorii niewiele mamy do powiedzenia: ludzie, poświęcający się nauce, wzbudzają już samą wielkością powołania głęboki szacunek; rzeczywiście zdolnych zachęcać tylko należy, aby wytrwali, a dojdą napewno do celu.

Co się tyczy kariery nauczycielskiej, to jest to dla kobiet idealne pole działalności. Niestety, jako pójdzie po linii najmniejszego oporu, wytwarza nadprodukcję nauczycielek, różnej niekiedy jakości; jest ich może obecnie za dużo. Na szczęście, szkół w Polsce powinno być dwa razy tyle, co jest, wobec tego należy mieć nadzieję, iż wszystkie te młode i pełne zapalą nauczycielki znajdą pole do pracy.

Sekcja matematyczno - przyrodnicza stanowczo mniej sprzyja przyszłej pracy kobiet, aniżeli sekcja humanistyczna, gdyż w zakresie nauk matematyczno - przyrodniczych są bardziej pożądanymi przez kierowników szkół średnich nauczyciele, niż nauczycielki. Dlaczego? — Znowu przesady.

Wszak w zawiłych dociekaniach matematycznych, zarówno jak w analizach chemii, umysł kobiecy — przez swą bardziej sprecyzowaną wnikliwość i intuicję — dochodzi często do poważniejszych rezultatów, aniżeli

zbudowany na suchej logice umysł męski. A jednak tak przywykliśmy traktować pogardliwie kobiece zdolności do nauk ścisłych, że — znowu stajemy przed zaporą, którą trzeba obalić, obalić za wszelką cenę.

Natomiast sekcja humanistyczna rozwiera szeroko swe podwoje dla wszystkich aspiracji kobiecych, poczynając od kariery ściśle naukowej (trochę, jednak, ograniczonej, bo jakoś nie mamy w Polsce ani jednego profesora - kobiety na uniwersytecie) poprzez zawod literacki i dziennikarstwo, aż do wyżej wzmiankowanego nauczycielstwa, które w tym wypadku znajduje duże zastosowanie.

Pozostaje mi jeszcze do omówienia wydział farmaceutyczny, idealny zawód dla kobiety, a tak bardzo w niewieścim świecie niepopularny. Dość powiedzieć, że w roku akademickim 1923/24 na farmację uczęszczało wszystkiego 114 kobiet, w roku 1924/25 — 131, w r. 1925/26 — 157, zaś w r. 1926/27 — 168. Aczkolwiek liczby te rok rocznie powiększają się, jednak w stosunku do tysięcy na wydziale filozoficznym, jest to stanowczo za mało.

Wszystkie te powyższe uwagi odnoszą się do kobiet, które, wstępując na uniwersytet, widzą swój najbliższy cel w zdobyciu dyplomu, a następnie w jaknajlepszym wyzyskaniu nabytej wiedzy.

Jednak, gdy badamy statystykę kobiet na uniwersytecie warszawskim, zadziwia nas znikomy stosunek wydanych dyplomów do ilości słuchaczek. Czyżby kobiece zdolności były aż tak bezradne wobec wyższego wykształcenia? Wiemy dobrze, że tak nie jest. Więc? — ale oto zbliżamy się do „meritum“ sprawy: aczkolwiek praca na medycynie wyczerpuje nerwowo i fizycznie, zadziwiającym jest fakt, że stosunkowo więcej kobiet kończy medycynę, aniżeli inne wydziały. Np. w roku akademickim 1925/26 na 262 słuchaczek medycyny ukończyło 95, gdy na prawie na 362 ukończyło tylko 58, a na filozofii, o zgrozo! na 2388 — tylko 42. Czemże to sobie wytłumaczyć? Bardzo prosto: na wydziale medycznym automatycznie dokonała się pewnego rodzaju selekcja: ptaki niebieskie, laleczki bezmyślne na medycynę nie pójda, bo panuje tam ostry rygor, bo niema czasu na flirty, ani na zabawy, bo tam trzeba rzetelnej pracy.

Oto jest zło, jakie nam wyrządziło zbyt łatwe podejście do wyższego wykształcenia kobiet. Gdy uniwersytet był dla nas rzeczą niecodzienną, którą trzeba było zdobyć trudem zwalczania przesądów i zwyczajów, wstępowały nań tylko powołane; obecnie zamula go element najzupełniej zbyteczny, dla którego zagadnienie stosunku kobiety do uniwersytetu bynajmniej nie jest istotnem. A trzeba by, pomimo wszystko, postawić je możliwie jasno i, albo wywalczyć prawo pracy dla kobiet na wszystkich bez wyjątku polach, albo też dać spokój złudzeniom i kształcić się tylko w kierunkach, mogących zapewnić dalszy rozwój pracy zarobkowej danej jednostki.

Zofja Miszewska.

M. H. SZPYRKÓWNA

POD ZNAKIEM SKRZYDLATEGO RUMAKA



Jeżeli w herbach państw, poza przypadkiem, jest istotnie, jak twierdzą nauki wtajemniczone, jakaś wyższa symbolika: to orzeł polski ma niezaprzeczoną rację bytu. Ale ja naprawdę, myśląc o naszym herbie, zawsze sobie wyobrażałam, że powinienby nim być nie ptak, tylko rumak, a ponieważ sam koń nie oddawałby może dostatecznie naszych aspiracji... górnołotnych, więc ów koń herbowy powinienby mieć skrzydła, czyli, byłby znanym z mitologii Pegazem. I polski herb stałby się wtedy odrazu herbem poetów.

Zwycięzamy. Zwycięzamy. Na wyścigach, na konkursach, u siebie i zagranicą, ale wszędzie, gdzie idzie o zwycięstwo zapomocą konia — zwycięzamy! I czy może być inaczej? Francuz, Anglik, Włoch, dośiada czasem — mniej, lub więcej — konia. Polak się z nim czasem — mniej, lub więcej — rozstaje. Rozstaje się coraz częściej dziś, kiedy warunki miejskiego, nieznosnego życia odrywają go coraz bardziej od wspólnoty z całą naturą i z największym jego przyjacielem, towarzyszem doli i niedoli życiowej — koniem. Ale jeszcze tradycja żyje w jeźdźcu, jeźdźcą — dziś — tramwajem. Żyje i czasem, w okolicznościach nadzwyczajnych, zmartwychwstaje z dawną siłą. Mogą to być wyścigi i konkursy, może to być krwawa wojna, lub znojny pochód przez nieskończone przestrzenie, gdzie silniejszy towarzysz: koń — wynosi na swym grzbiecie słabszego towarzysza, — człowieka. Może być ciężka orka i może być szalona gonitwa za lisem. Może być zamyślona jazda stępą konno poprzez ciche drogi, kiedy w swojej wielkiej samotności człowiek się jednak nie czuje sam, kiedy za dotknięciem jego ręki rozdymają się zadowoleniem aksamitne chrapy, a wilgotne, rzewne oczy patrzą nieodgadnionym spojrzeniem duszy, która już rozumie, a jeszcze nie umie powiedzieć. Kto nie pamięta otuchy na bujne, dalekie rzenie konia w nocy?

Każdy naród wychował sobie, rzeczy można, konia podług własnej duszy i własnej rasy. Konie tatarskie są małe, dzikie i złe — gryzą w walce wrogów i tratuja pod siebie. Jakaż różnica — konie arabskie! Cały polot pustyni, cała szlachetność wolności, cała tęsknota przestrzeni, których zagarnąć nigdy nie sposób, — odbiły się w arabczyku — w jego prześlizanej budowie i charakterze dzikim, ale rasowym, jak dusza beduina.

Szczególniejszy jest charakter koni kowbojów amerykańskich — i znowu absolutnie różny od tak

samo uprawiających sztuczną jazdę koni gruzińskich dżygitów. Kowbojski koń jest to nieposkromiona bestja apokaliptyczna, która z djabelską, zdumiewającą wprost, zaciętą chytrą ma na oku jeden cel: zabić jeźdźcę. Jest to walka dwu dzikości, dwu zaciętości, dwóch uporów, dwu okrucieństw i dwu przebiegłości w której zwycięża, oczywiście, upór, okrucieństwo i przebiegłość człowieka.

I ujarzmione zwierzę staje się, poniekąd, drugą potencją, zwierzęcem wzmożeniem tych wszystkich cech. Uczy się nawet... podstępnie zwyciężać dla człowieka swoich dzikich braci. Jakież morze różnicy z koniem dżigita, który jest cały ogniem, dumą i szlachetnością! W niezrównanych zapasach rycerskich jest cały, jak napięta struna, która żadnego, poddanego jej przez człowieka, tonu nie skazi niedociągnięciem i czasem, zwyciężony w walce, umiera... na depresję psychiczną. A konie, które na wojnie dostają obłąkania, a konie, które co jakiś czas są obwożone i pokazywane, jako liczące, czytające, wystukujące, rozmawiające?... Coś z tego odpadnie na zwykłą w tych wypadkach przesadę, ale coś — zostanie. I ostatnie badania coraz bardziej dochodzą do wniosku, że dusza zwierzęca — to świat wielokrotnie bliższy naszego i bardziej skomplikowany, niż pozor nie się wydaje. — I że przebliski coraz częstsze tego, co nazywamy zmysłnością, czy instynktem — są budzeniem się myśli, która już dziś miewa objawy fenomenalne. W pierwszym rzędzie do tych zwierząt „ewoluujących“, jakby powiedział wtajemniczony, należy pies i koń. Z tych dwu: pies jest bardziej sługą, koń — bardziej towarzyszem, ale obaj — przyjaciółmi człowieka.

— Jakież jest nasz polski koń?

Nasz polski koń jest, przede wszystkim, — szlachetny. Nie ma dzikości Wschodu, nie ma ociężałości północnej, nie ma amerykańskiego „wyuzdania“ w sensie najwłaściwszym, skąd dopiero przeszło to słowo do przenośni — nie ma narowistości południowej. Ale jest w swoim charakterze tak różny, jak rozległe były ziemie polskie — od morza do morza, od dziczyzny do Europy. Mieliśmy rozwiane, jak wichry, kuligi, ucieczki i porwania po bezbrzeżnych stepach kresowych — i te rozwiane grzywy, te ogony, jak płomień na wicherze, ten cały nieokiełznany, jak wiatr stepowy, pęd. I mieliśmy wierzchowca — owego ułańskiego konika, tysiąc razy wyśpiewanego w krakowiakach i mazurkach — towarzysza, w haftowanym dziewczęcimi rączkami czapraku, przyjaciela, który miał tyle, co i jego pan, a wiele razy i odwagi więcej — kolegę klęski i chwały, dla

którego nikt jeszcze nie wymyślił Virtuti! Chociaż — nie. Nie pamiętam w tej chwili, który kraj — ale bodaj, Ameryka, zainicjowała pomnik poległym w wojnie koniom, i zdaje mi się, że jest to naprawdę zasłużona gałązka laurowa na mogile „nieznanego bohatera“. Bo cierpią nie za swoje ambicje i umierają za wasnie ludzkie — ci nasi towarzysze, dla których nasze panowanie jest jedną epopeją męczeństwa. Dziś coraz częściej powstają związki „obrony praw zwierzęcych“.

Stanowisko zwierzęcia powoli — bardzo powoli, zbliża się do tego, jakie mieli niewolnicy dawniej, będący także na stopie domowego zwierzęcia, z prawem życia i śmierci w ręku pana. Za zabicie niewolnika rzymianin nie odpowiadał, tembardziej, za katowanie. Dziś, katowanie koni jest już, w niektórych krajach, obwarowane prawnie.

Ewolujemy!

Czy zawdzięczamy to dalekiej legendzie krwawego Dżingiz - Khana? Czy polnej przeszłości Polan, naszych pra-praojców? Dość, że z koniem polski dwór jest związany tradycją, która trwa samym rozpędem do dziś.

Nie znam dziecka, któreby się tak rwało do konia, jak polski urwis, który sto razy zleci na łeb, dziesięć razy dostanie w skórę, żeby to lepiej zapamiętał — i zawsze, i ciągle, i nieuleczalnie, jednak do tego konia ciągnie, jak żelazny opiłek do magnesu! Czy pamięta, jak przed wiekami, taki koń go unosił przed tatarami z płonącego rodzicielskiego dworu? Czy żyje w nim wspomnienie kuli, która mu świezczała wraz z wiatrem, gdy leciał — sam wiatr i płomień, — na wyciągniętym, jak struna, koniu, w las obcych pik i sztandarów, a piki i sztandary łamały się, chyliły i rozstępowały — pod szaleństwem odwagi, pod płomieniem zapалу ich dwu: jego i jego konia?

Czy pamięta, może, jeszcze dawniejsze czasy, kiedy leżał gwiezdami nocami w polu, przy czerwonym ognisku, a kołem, wkrąg niego, chrzęstliwie żując trawę, ciepłe i przyjacielskie, stłoczyły się konie jego stadniny — jego dobro i dobytek, wykup za przyszłą żonę i pogębienie zazdrośnych — i wówczas imio-

nami ulubieńców nazywał dalekie, najjaśniejsze gwiazdy?

Od tych prastarych czasów pomiędzy polskim jeźdźcą, a polskim koniem zaległo nierozzerwalne przymierze. Miasto je usiłuje obłuźnić, życie wymyśliło automobil, technika robi dużo, aby najwierniejszego towarzysza polskiej przeszłości zepchnąć do lamusa.

I trzeba myśleć, że maszyna zastąpi — w czym zastąpić może — konia. Ale nie we wszystkim! Nie zastąpi, mianowicie, konia w niezwykłej ponęce, jaką tylko żywa istota, — nie maszyna, — obudzić może.

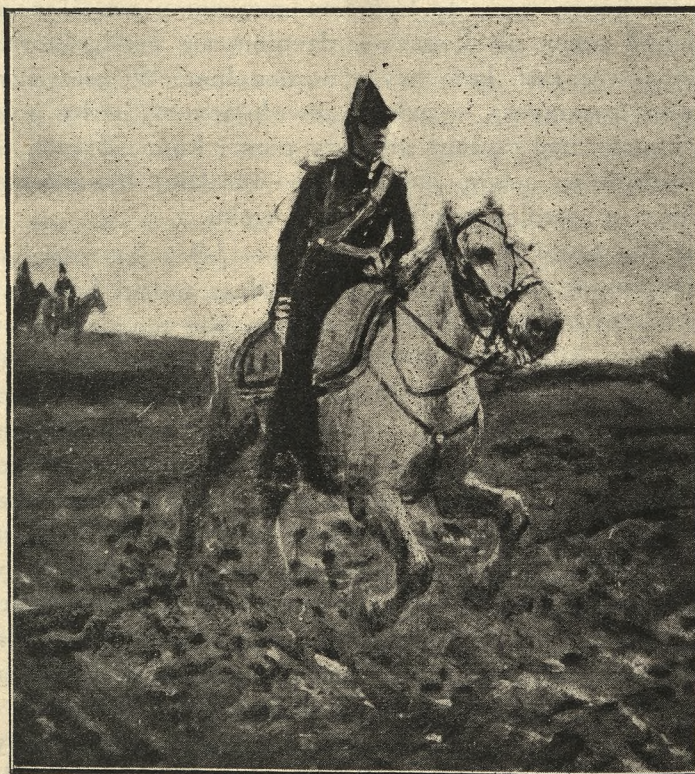
„... Tu się zaczynasz w mem życiu — nie krzesło, wzięte na sznurek, nie sprzęt czworonogi, nie kuc stary, drzemający pod gradem uderzeń malutkiego obcasa — tu się zaczynasz, koniu! Polotna duma wszystkich pól, dróg i pochodów świata, któryś w czasie zamierzczłym oznaczał człowiekowi bieg słońca, któryś ojcom moim na dachach, pod wieńcówkę wzniesionych, koniec zacnego dzieła wyobrażał, któryś kładł startą podkowę szczęście na każdym progu. — Słowo na czterech nogach ścigłych, machająca przez czerwone mroki bujnym, rozwianym ogonem!..“

* * *

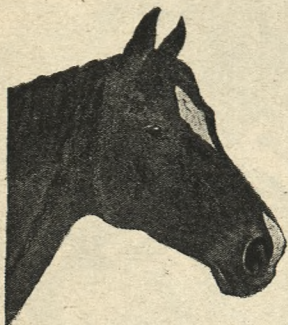
To z książki Kadena.

Wielki Kaden był wtedy małym Kadenem. Może miał lat sześć, może ośm. Ale gdyby po „gujsztwacku“ (tak nazywał się dziecienny, umówiony język) mógł napisać, co myśli o koniu — napisałby pewno i wtedy to samo, co najwyżejby dodał, że siodło na koniu „chrzęści, jak kruche ciastko“. W małym sercu polskich chłopców żyje wielka tęsknota do konia — zachwyt, podziw, poszanowanie, coś, co im każe rozbijać, jako dzieciom, małe nosy, aby z czasem, jako dorośli, mogli na koniu odnosić wielkie zwycięstwa.

Wojsko, sport, czy nie wiem, zresztą, już jaka organizacja końska: musi stanowczo zainicjować chorągiew, na którejby koń leciał na skrzydłach — i pod polskim znakiem tradycyjnym — Znakiem Skrzydlatego Rumaka.



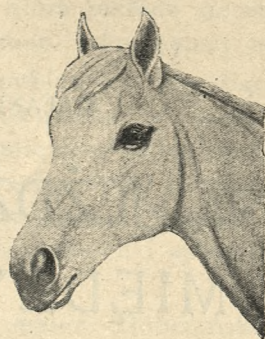
Małs Gierymski. Adjutant sztabowy z 1831 roku



FELICJA KRUSZEWSKA

KONIE

JASKÓŁKA



W rzęsach masz mokre złoto, w nozdrzach — dwa korale,
nienawidzisz przeszkody, przestrzeni i czasu,
i jesteś zbudowana mądrze i wspaniale
z kości, sprężystych mięśni, włosów i atłasu

Twój atłas pachnie potem. Pot pachnie radością,
radość — dalekim pędem, a pęd ma już skrzydła,
Pomiędzy niebem, ziemią i nieskończonością
jesteś żyjącą strzałą, puszczoną z wędzidła.

Wypływasz z mroku stajni czarna, lśniaca, śmigła,
wiatr chwytaś w mokre chrapy i kręcisz się wkołko,
potem rozdzierasz przestrzeń, jak dymiąca igła —
i dlatego cię ludzie nazwali Jaskółką.

Słońce wplata ci w grzywę wąski pasek tęczy
i jak ostrogą boki nakłuwa iskrami.
Słuchaj tętna galopu: to rytmicznie jęczy
ziemia, którą za siebie spychasz kopytami.

Dzwonisz coraz potężniej nogami strunnymi,
okryta cała dala i pianą okryta,
skrucasz się w lśniącą kulę, odrywasz od ziemi
i maczasz w płynnym niebie zuchwałe kopyta.

WOJTUŚ

Byłeś w ułańskim pułku; w szwadronie... w plutonie...
Chłopca miałeś na grzbiecie i imię chłopięce.
Byłeś napozór zwykły tak, jak inne konie,
tylko że cię najdroższe dotykały ręce.

Byłeś niebardo młody i niebardo stary,
miałeś swoje narowy, jakież koń ich nie ma?
Niebardo pewno piękny i poprostu kary,
na lewo pierwszy w czwórce. Jeden z temi trzema.

Zwyczajny sobie Wojtuś, przysadzisty w zadzie,
wytrzymały na marsze i przyciężki w biegu.
Wyrzucałeś nogami na wielkiej paradzie,
trzęsłeś się drobnym truchtem w ułańskim szeregu.

Nie widziałam cię nigdy, choć nikt mi nie wzbraniał.
Nie klepałam po szyi, nie przyniosłam chleba,
nie szepnęłam do ucha, kiedy było trzeba,
słów głupiutkich: uważaj, pamiętaj, ochraniaj.

Aż zjawiłeś się kiedyś jakąś nocą, we śnie.
Skurczone nogi w górę! — Skok! Z miejsca i cwałem —
tętniąc okropnym krzykiem, tratując boleśnie
wszystko, co w śnie wróciło i stało się ciałem.

Biły twoje kopyta po sercu, po głowie.
Sen mi cały rozniosłeś na strzępy czerwone
i popędziłeś dalej — Dokąd? nikt nie powie —
niosąc na grzbiecie pustkę i siodło skrwawione.



STEFANJA PODHORSKA-OKOŁÓW

KONIE, JEŹDŹCY, PUBLICZNOŚĆ NA MIĘDZYNARODOWYCH KONKURSACH HIPPICZNYCH W WARSZAWIE



Koń!.. Ileż to słowo, krótkie i jędrne, jak trzask z bicia, zawiera jeszcze dziś melodji, słodkiej dla ucha polskiego! Któż z nas nie pamięta swego drewnianego rumaka na biegunach, z którego—śladem księcia Józefa—rzucił się bohatersko w nurty, wezbranej dziecianną imaginacją, Elstery? Kto nie wspomina rzuwając swą pierwszą eskapadę oklep na dopadniętym chyłkiem na wygonie podjezdki, i szalonego rytmu serca w takt końskich kopyt, i rozkosznego bólu wszystkich, połamanych ze szczerem, kosteczek po pierwszym w swym życiu galopie? Któż z nas, ziemianek, nie wypłakiwała gorzkiego piołunu łez nad ulubioną żółką własnego chowu, konającą z niewczasu i forsownej

podróży, gdzieś na brzoźowym szlaku wygnańczym, między Nowogródkiem, a Baranowiczami?

Któryż ułan we wdzięcznej pamięci nie chowa jakiegoś deresza, czy kasztana z łysiną i w pończoszkach, którego skrzydlatym pędem zawdzięcza życie i ocalenie z bolszewickiej obieży? Tak! pomimo zdobyczy cywilizacji i techniki, pomimo wynalazków i udoskonaleń w dziedzinie komunikacji i wojowania, wbrew aeroplanom, samochodom, motocyklom, czołgom—koń żywie jeszcze w sercu naszym, jako wierny przyjaciel i bojowy towarzysz polaka.

Nic więc dziwnego, że pierwsze Międzynarodowe Konkursy Hippyckie w Warszawie wywołały u nas



Cudzoziemscy oficerowie, biorący udział w konkursach

zainteresowanie, graniczące z entuzjazmem. Świadczą o nim trybuny, oblepione rojem ludzkim, jak plaster miodowy pszczołami, świadczą te tysiączne groty spojrzeń, wlokące się za każdym jeźdźcą, jak war-kocz komety, świadczy ta cisza, zapadająca nad mro-wiem ludzkim za każdym trudniejszym biegiem, świadczą te oklaski, zrywające się żywiołową salwą po każdej mistrzowsko wziętej przeszkodzie.

Dawno już nie widzieliśmy publiczności tak zwar-tej psychicznie, tak jednolitej rasowo, tak samorzutnie reagującej na zjawiska. Radość jest tu naprawdę ra-dością, żal — żalem, zawód — zawodem serdecznym, a kiedy ulubiony koń najniespodziewaniej zawadza o barierę, publiczność syczy z bólu, jakby ten tępy ka-wał drzewa pod samo serce ją kolnął!

Bo ci, co tutaj przychodzą, kochają naprawdę konia. To nie tłuszcza wyścigowa, złożona z mętów wszelakiego rodzaju, spalających się w niezdrowych płomieniach totalizatora. To prawdziwi sportsmeni, hodowcy, ziemianie, wojskowi, miłośnicy konia zawo-dowi i platoniczni — bezinteresowni wielbicieli gestu brawury, szybkości, nieuleczalni neurastenicy odwagi pięknego kształtu, niezawodnego rytmu.

Tyle o publiczności, o wiecznie ruchliwych, pod-nieconych, mrugających rzęsach tego olbrzymiego oka, które się zwie hippodromem. A cóż się dzieje tam, w głębi tej żrenicy, uzbrojonej różnobarwną tęczęwą przeszkód, wałów, rowów, płotów, barjer, murów po-rosłych darnią, małych sadzaweczek, podstępnie za-maskowanych płotkami z chrustu, co prężą się, niby różgi liktorskie, na postrach jeźdźcy i konia?

Co się tam dzieje? Rzeczy nawskroś przedziwne i niespodziewane zupełnie. Jak w życiu. Wyjeżdża oto w szranki koń—cudo: główka jak marzenie, chrapy jak konchy rozdęte, szyja, jak łodyga, pierś, jak u pan-ny, nogi, jak cięciwy, kopyta na sprężynach. Idzie w lansadach, jak do tańca. I wali pierwszą z brze-gu przeszkodę. A potem drugą, trzecią, dziesiątą, jak na upartego. A przed brzożowemi sztachetami za-myśla się głęboko. Stanowczo odmawia skoku, po-mimo wyraźnych nakazów jeźdźcy, popieranym wy-mową szpicruty i ostrogi. Obwachuje obojętnie ba-rjerę z dostojnym chłodem natur arystokratycznych, nie robiących sobie nic z opinii. Publiczność się śmieje. Niech sobie plebs poigra! Aż znienacka, w po-rywie niespodziewanego kaprysu, przesadza płot po mistrzowsku i lotem ptaka bierze wszystkie pozostałe przeszkody, Ale nic mu już nie pomoże: czas swój przetrzymał i przed końcem sromotnie go „wydzwon-iono“.

Przyznać trzeba że źle tajoną dumą, że naszym koniom takie fatalne „casusy“ przytrafiają się bar-dzo rzadko. Natomiast francuskie i węgierskie oka-zują głęboki wstręt do polskiej brzeziny. W pierw-szym dniu konkursów wszystkie płotki z brzożowych pieńków omijały starannie, a w najlepszym razie

traktowały je, jak drabinę, za którą zakłada się siano, ale, broń Boże, nie jak przeszkodę, którą należy brać.

Wszystkie terenowe kombinacje, nieodłączne w biegach myśliwskich, też niebardzo w smak im poszły. Tłumaczono to uprzejmie oszołomieniem koni zagranicznych, które, po dłuższej podróży w wagonie, nie zdążyły jeszcze przyjść do siebie. Bo koń, koń rasowy, to kłębek „nerwów“ delikatnych i splątanych, łatwo popadający w histerję.

Oto wyjeżdża na plac major Dobrzański na „Andzie“, która w pierwszym dniu konkursów wzięła I nagrodę, przebywszy parcours bez błędu. Prześliczna klacz, jakby utoczona z giętkiej, żywej stali. Główka drobna, chrapki rozdęte, oko myślące, jak u człowieka. Zanim ruszy w skok, już czaruje, podbija, porywa. Ale gubi ją zbyt bujna indywidualność. Może popro-stu histerja, nerwy, przeczulona ambicja. Nie tak, jak jeździec chce, ale jak jej się podoba. Dzisiaj (trzeci dzień konkursów) przysłała na nią godzina uporu. Przeszkoda z rowem, wypełnionym wodą, budzi w niej abominację niewypowiedzianą. Trzykrotnie wszyst-kiemi kopytami zarywa się przed nią w ziemię, zu-pełnie jakby ta niewinna sadzaweczka była nalana nie wodą, ale roztopionym ołowiem. A może drażni ją własne, ruchliwe odbicie?

Jeździec próbuje perswazji. Jak z rozpieszczonem, ale utalentowanym dzieckiem, jak z kapryśną, ale rozkoszną kochanką. Podprowadza do przeszkody z drugiej strony, zmusza do wejścia w wodę aż po brzuch. — Patrz, moja mała: to wcale nie straszne, woda taka przyjemna, chłodna, a przecież ty i tak przez nią przeskoczyłaś!

Napróżno! „Mała“ uparła się, jak koziół, a zre-sztą, już ją „wydzwoniono“. Odjeżdża, głupia, z miną triumfatorzki: Postawiła na swoim! Jutro, albo poju-trze, napewno będzie biegła, jak anioł.

Każdy koń ma tu swój charakter, swoją indywi-dualność, wyróżniającą go od innych jaskrawiej, niż maść. Po kilku dniach ich imiona i fizjognomje, zrazu zgoła dla nas nieme i obojętne, nabierają barwy i wy-razu. Wiemy już, czego się mamy spodziewać po „Fa-worycie“, „Zefirze“, „Kochasiu“, „Jowiszu“, „Hanni-balu“. Ich boskie, królewskie, palcem kaprysu na wo-dzie wyobraźni pisane zawołania, wywołują w naszym sercu echo, głębokie, jak westchnienie.—„Nie zrobię mi wstydu, przyjacielu!“

Już wiemy, jak każdy z nich skacze. Jeden idzie flegmatycznie, ciężko, bez wdzięku. Leniwie podnosi nogi przed przeszkodą, jak pies łapy. Ospale przewala pozornie sztywny kadłub przez barjery, czasem lekce-ważąco zawadzając o nie kopytem. I ku podziwowi i pewnej niechęci wszystkich (koń jest, zasadniczo, an-typatyczny), kończy parcours bez błędu.

Francuska flaga (godło narodowości poprzednie-go zwycięzcy) pomału spływa w dół z masztu, a na



Bieg pań parami. Skok przez przeszkodę

jej miejsce ulatuje amarantowo-biały sztandar, powiewając już do końca biegu.

Polskie konie wzięły na ambit. Każdy skacze inaczej, po swojemu. Jeden śmiga w górę, jak koza, inny skrada się do przeszkody, przesadzając ją cichym, miękkim susem, jak kot; jeszcze inny podwija wszystkie nogi pod siebie, odbijając się od powietrza, jak sprężyna. Ale najpiękniej wygląda ten, co przepływa ponad przeszkodą łagodnym łukiem, wydłużając szyję i wyciągając za siebie daleko tylne nogi, podobny do długiej, złocistej strzały, szybującej przez powietrze.

* * *

Bieg pań parami. Ogólna emocja towarzyszy temu biegowi. Tradycje Bałki Wołodyjowskiej jeszcze żyją w wyobraźniach. Więc każdy zapytuje mimowoli: „Jakże popiszą się te nasze „Bałki“ nowoczesne, ćwiczące nie na rozłogach stepowych, ale w ramach manewrowej karność?”—Popisały się doskonale. Chwilami miało się nawet wrażenie, że popisałyby się lepiej, skacząc same, bez męskiej asysty, gdyż nie wszystkie pary dostatecznie były zgrane. Zresztą, efekt skoku rozkładał się zawsze na dwoje, a to rozszczepianie wrażenia osłabiało je o pięćdziesiąt procent.

Jeździły wyłącznie polki, choć konkurs był otwarty dla jeźdźców wszystkich krajów. Pierwszą nagrodę wzięła pani Jurgielewiczowa Helena na „Herkulesie“, i rtm. Królikiewicz na „Dream'ie“, II—pani Skarzyńska Adela na wał. „Morinus“ i por. Szosland na wał. „Allé“,—obydwie pary bez błędu. Pani Skarzyńska budziła ogólny zachwyt sliczną postawą. Większość pań dosiadała konia po męsku: — przyznać należy, że to jest jedyny racjonalny system na konkursach hippicznych.

Dama w amazonce może wyglądać bardzo stylowo, ale budzi w widzach nieprzyjemny odruch lęku przy każdym skoku.

A stroje dam z publiczności? Pierwszego dnia przezorniejsze panie przywdziały futra, niektóre przyniosły ze sobą pledy do okrycia nóg. Raptowny upał następnych dni z poczwarki wydobyl motyla. Rozkwitły łoże i trybuny różnobarwnym kwieciami letnich tualet. Przeważał kolor niebieski i wszystkie odcienie różowego, w kostjumach—popielaty. Mnóstwo pań miało na główkach panamy, pasterki i słomkowe budki z długimi aksamitkami. Wyglądało to bardzo stylowo i naprawdę po letniemu.



Brawurowy skok dzielnej amazonki



HERMINJA NAGLEROWA (J-A STYCZ)

6

MOTYW KSIĘŻYCA

Nowela

Grube krople deszczu spadały, uderzając mocno, jak drewniane kulki. A wtedy na chwilę ustała praca na stercie, przycichło, zawahało się postanowienie, zaskoczone zagnęła złośliwą przemocą. Pod górkę na majdan podjechał zadyszany wóz, kolebiąc się rozłożyste sнопami. Gruzłowate grzbiety koni zapadły się wklęsłym łukiem. Łby wydłużyły się sztywno, a nogi plątały się skośnym, wtył szarpanym ruchem. Już gdzieś po drodze mocniejszy deszcz poplamiał ich bułane boki.

I nagle znowu spadł krzyk ze szczytu sterty. Głosy wjeżdżały na siebie, krzyżowały się dysonansem. Najgłośniej wołał tenor Andrzeja.

— Płachty na stertę! Płachtę na wóz!

Brzuchy końskie nadymały się w przyspieszonym oddechu. Ulewa bielmem zasnuła ludzi, stertę, zabudowania. Hipolit cofnął się w popłochu pod dach stodoły. Wkrótce zbiegli się tu wszyscy, wyprychując wodę i trzepiąc śmiesznie rękami. Pot ludzki pomieszał się z ozonem.

Andrzej, przemoczony, oblepiony słomą i plewą, strząsał z siebie wodę. A Hipolit, widząc te ruchy, przypominał znowu bezsilny, rozpaczliwie walczący trzepot ramion, wyrzucony w powietrze.

Kiedy wracał z Andrzejem śliską po deszczu drogą, pachniało trawą i wilgocią. Na widnokręgu wydłużały się sztywne pasma sinej mgły, a słońce odchodziło już w stronę zachodu, rozświetlając rzadkie, płowe chmury.

Andrzej drżał pod mokrą koszulą.

— Przeziębisz się.

— Nie, jestem przyzwyczajony.

A potem zaczął mówić o burzach na morzu, przeciwstawiając ich straszliwą żywiołowość mizernym burzom ojczystym. Hipolita mierzyła literackość opisów, ta ciężka, banalna frazeologia, jaką się popisował Andrzej. Nienawistny był mu również jego nieco kołyszący się chód.

— Morze jest za mocne — patosował Andrzej — gubi słabego człowieka.

I, pomilczawszy chwilę, zapytał:

— Czy zna pan morze w księżycową noc?

Hipolit powiedział: — znam — i bystro, czujnie spojrział na chłopca. Andrzej mówił jednak przed siebie.

— Wtedy człowiek jest zupełnie zgubiony.

— Zgubiony?

— Woda i księżyc ciągną, jakby dużą sieć.

Cóż za porównania! — irytował się Hipolit. — „Inteligencja“ Andrzeja mogłaby najspokojniejszego człowieka wytrącić z równowagi.

Lecz Andrzej, jakby na złość, filozofował z rosnącą namiętnością.

— Wtedy tylko jedna siła może powstrzymać — lęk.

— Lęk — przed czym?

— Przed niebezpieczną chęcią, która się w nas budzi. Księżyc i woda kuszą. W człowieku rodzi się zło. Siły jego rosną, małe, niewidoczne prawie uczucia olbrzymieją. To, czego by nigdy nie spełnił w normalnych warunkach, może się w takiej chwili dokonać z łatwością. Człowiek jest wtedy niepo czytany, bezwolny. I dlatego tylko lęk może go przywieść do przytomności. Lęk przed samym sobą.

Hipolit słuchał tych wywodów niemal z trwogą. Zdawało mu się, że Andrzej zmierza dokądś celowo. Postanowił zepchnąć go z tej niebezpiecznej dróżki.

— A tu, na lądzie, czy także ciągnie księżyc?

Hipolit dostrzegł nieufny błysk w oczach Andrzeja.

— No, tak. Tu? — powtórzył.

— Nie wiem. Może i tu również. Czytałem o tem, ale... ja nie wiem.

Chłopak był najwidoczniej zmieszany. Hipolit stwierdził to z zadowoleniem, lecz jednocześnie pojął, że wplątała się tu jakaś mętna zagadka.

Szli teraz niemal zasępieni, balansując wzdłuż parkanu. Na ostrych żerdziach zieleniła się śliska wilgoć. Z drzew spadały zimne i przezroczyste krople. Hipolit szedł przodem po drewnianych kładkach, uginających się pod nogami, a czarna, błotnista woda wytryskiwała ze szpar, jak z szerokich warg ryby.

Parę godzin później, już na odwieczerz, Hipolit, stojąc w otwartym oknie salonu, zobaczył wschodzący księżyc. Olbrzymi, jak miedziany talerz wysunął się nad kresą horyzontu. Malał i żółknął w oczach, wpływając na pełne niebo. Jakiś ptak zacykał krótko i umilkł.

Księżyc, prawie w pełni, wykrzywił się nieznacznie jednym policzkiem. Przysuwała się noc, wlokąc się leniwym zmrokiem i gromadząc resztki granatowych chmur na nieboskłonie. Ziewnęło ciszą i nudną pustką.

Andrzej przyniósł róże z ogrodu. Były białe, mokre od deszczu, ciężkie, smutnie obwisające na chropawych łodygach.

— Kwiatami zajmuje się Mateusz — ofuknął Hipolit Andrzeja.

— Mateusz chory. Ma reumatyzm w nodze.

Powiedział „reumatyzm“ z francuska, i Hipolit poprawił błąd.

— Mówi się „reumatyzm“.

Lecz nagle przypomniał sobie, że sfrancuziały Jan mówił również „rematyzm“, a raczej „rematizm“, i uśmiechnął się jadownicie.

— Dziś po kolacji opowiem ci, jak utonął Jan.

— Oh, dziękuję, dziękuję jaśnie panu.

Hipolit już dawno zauważył, że Andrzej nie szafuje zbyt „jaśnie panem“, więc skoro teraz potraktował go pleno tytuło, uczynił to z wdzięczności, wzruszenia, ciekawości?

Róże we flakonie wyglądały, jak młode kobiety. Każda miała inny wyraz twarzy i inne przechylenie główki. Jedna była podobna do Marji: wysuwała tak samo naprzód głowę i była gładka, staranna, owalna. A inna znowu była tak jasna i biała, jak Żermeną. Listki strzępiły się kędzierzawą grzywką.

Hipolit pochylił się i ucałował obie róże. Najpierw „Marję“, a potem „Żermenę“. Zdawało mu się, że żegnał się przed odjazdem. Pomyślał też:

— Wyjadę stąd w październiku.

Wtedy z róży-Marji opadły krople deszczu, jak łzy.

— Płaczesz? Droga, kochana...

Wzruszył się.

— A co by było, gdybym się ożenił z Marją?

— Z siostrą Jana...

— Tak, właśnie z siostrą Jana.

Wtedy z róży-Żermeną opadły krople deszczu, jak łzy.

Gniotący, niewygodny ciężar smutku zwałił się na Hipolita.

VI

Hipolit opowiedział Andrzejowi krótką historję Jana. Unikał ozdobnych i wzruszających zwrotów. Jeżeli tak wiele ukrywał, jeżeli zmieniał, nie chciał już nic niepotrzebnego dodawać. Właściwie było to tylko kilka zdań jasnych, zrozumiałych, oczywistych. Ich kolejność była już ustalona, niejako utrwalona w wielokrotnych relacjach.

Ale cóż z tego, że słowa były skąpe i obliczone przemyślnie, kiedy wyobrażnia Andrzeja pracowała rozrzutnie, podsuwając faktyczne wątpliwości i dokuczliwe indagacje.

— Jan umiał przecież pływać!

Trzeba więc było skupić się bacznie nad odpowiedzią, nadać jej kategoryczność albo, przynajmniej rozumne oblicze prawdopodobieństwa.

— Może stracił przytomność, może zginął od razu od uderzenia łódki, czy skały.

Lecz Andrzej doszedł do innego wniosku.

— Nie, to księżyc i morze.

— Co?

— Księżyc i morze zarzuciły się.

Serce zadygotało nieprzyjemnie.

— Głupstwo!

Andrzej tłumaczył się, zawstydzony.

— Przepraszam pana, ale jestem tak wzruszony tem, co słyszałem. Mogę panu przecież powiedzieć, że kochaliśmy się, jak bracia. Pisywał do mnie gdy odjeżdżał. Mam nawet list, wysłany w dniu śmierci.

— List... od Jana?

— Mam go tu ze sobą. O, widzi pan, data.

Ręce Hipolita wyciągnęły się aż nadto skwapliwie.

— Daj mi ten list!

— Nie wiem, czy powinienem go komukolwiek pokazać? Pisał do mnie o wszystkim, jak do przyjaciela.

— Ach, głupcze, przecież i ja byłem jego przyjacielem!

— Przepraszam pana, ale list był pisany tylko do mnie.

Hipolit opanował się. Rozumiał, że nie stanie się zadość ani jego prośbie, ani jego pańskiej, rozkazującej woli. Uśmiechnął się blade.

— Jesteś wiernym przyjacielem.

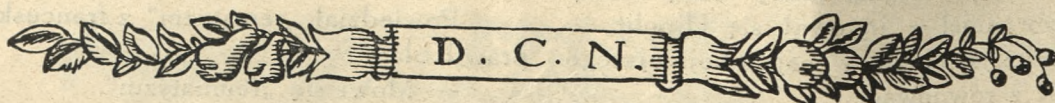
— Aż poza grób! — powiedział Andrzej patetycznie.

Hipolit wstrząsnął się. Przez mięśnie przewiercił się sztywny ból.

Mimo zwyczajnej dawki bromu, Hipolit nie spał tej nocy. Otwarte oczy upijały się jasno-zielonem światłem, wieszały się na skośnych taflach księżycowych promieni, ścielących się przez okno. Wreszcie zesunął się księżyc z szyb, i mrok zatańczył od podłogi po sufit, pomierzył zarysy sprzętów, to rozszerzał, to ścieśniał przestrzeń. Atmosfera stała się mętna i duszna. Hipolitowi zabrakło tchu. Stłumiły się gęsto groteskowe majaczenia, strzępki nielogicznych myśli, iskierki rozsypanych światełek, zawirowały jakieś stwory nikczemne, wiotkie i obrzydłe. Hipolit zerwał się z łóżka i otworzył okno.

Nad częścią parku i nad stawem leżała jeszcze księżycowa poświata. Można było wyraźnie rozróżnić zarysy drzew, grzbiet mostu, błyszczącą taflę stawu. Cisza mżyła srebrzyście, i w patrzącym zastygało zwołna wzburzenie. Już kładł całą winę na nerwy, wyrzucając im niesforność i nieobliczalność wybryków.

Ale zaledwie zdążyły usmiężyć się niespokojne harce owych nerwów, zaledwie wygładziła rozsądna perswazja pomierzwiony tumult myśli, gdy przeżalenie przedarło się naskróś bolesnem cięciem. Wargi same odskoczyły i krótki krzyk rozpękał się w ciszy.



J. CONRAD

11

PLANTATOR Z MALATY

Autoryzowany przekład Teresy Tatarakiewiczowej

Wzruszenie jego było tak silne, że musiał odka-
sznać i, nie wiedząc, o czym z nią mówić, zaczął
opowiadać o swej matce i siostrach, które miały
przyjechać na pewien czas do Londynu.

— Mam nadzieję, że pani je odwiedzi i opowie
im coś o mnie, coś z tego, co pani sama widziała —
dodał nalegająco.

Tak, jak umierający, miał nadzieję tym naiwnym
podstępem przedłużyć jej pamięć o sobie.

— Zrobię to z pewnością — odparła — bardzo m
będzie przyjemnie odwiedzić je, jak tylko powrócę,
ale to zapewne nie nastąpi tak prędko.

Usłyszał, jak zlekka westchnęła. Podniecany
okrutną zazdrością, zapytał:

— Czy pani już się zniechęciła?

Po tem cichem pytaniu zapadło milczenie.

— Jeśli pan przypuszcza, że to moje serce się
zniechęciło — zabrzmiał po chwili głos panny Moor-
som—to pan, jak widzę, nie zna mnie wcale.

— Nie należy nigdy wątpić—mruknął.

— W całej tej sprawie chodzi o wynagrodzenie
krzywdy. Występuję w obronie prawdy, nie mogę więc
myśleć o sobie.

Miał ochotę schwycić ją za gardło, gdyż każde
jej słowo zdawało się ubliżać jego miłości, lecz po-
wiedział tylko:

— Nigdy nie wątpiłem o szlachetności pani
pobudek.

— Zdziwiło mnie tylko, że użyte zostało w ta-
kiem zastosowaniu słowo „zniechęcenie“. I to przez
kogo,—przez pana,—który, podobno, nie liczy się z ni-
czem, gdy chce dopiąć swego celu.

— Widzę, że dokuczanie mi sprawia pani przy-
jemność—odparł, gdy tylko, opanowawszy swój gniew,
mógł głos wydobyć. Miał wrażenie, że profesor Mo-
orsom wsączył mu jad w ucho, który, rozplywając się
teraz, zabarwia nietylko miłość jego, ale i zazdrość.
Odnosił się podejrzliwie do każdego słowa, wycho-
dzącego z tych ust, od których zawisło jego życie.

— Co pani może wiedzieć o ludziach, którzy nie
dbają o nic, gdy chodzi o dopięcie celu? — zapytał,
jak mógł najłagodniej.

— Znam ich trochę ze słyszenia.

— Zapewniam panią, że nie różnią się od in-
nych: cierpią, ulegają czarowi...

— Ale jeden z nich dziwne mi rzeczy opowiada.
Po krótkim milczeniu zmieniła temat rozmowy

— Dziś rano spotkało mnie wielkie rozczarowa-
nie. Nadszedł list pocztą od wdowy po starym słu-
ż-

cym; pan wie, o kim mówię. Miałam nadzieję, że
otrzymała jakieś wiadomości... stąd. Lecz nie dowie-
działa się nic nowego od czasu naszego wyjazdu.

Głos jej był spokojny. Zazdrość jego nie znosiła
tego rodzaju rozmów, lecz był zadowolony, że przy-
najmniej nie zdarzyło się nic, coby ułatwiło poszuki-
wania; ślepem, niewyrozumowaniem szczęściem napel-
niała go myśl, że będzie oglądał ją długo, wobec te-
go, że nie zniechęciła się do dalszych poszukiwań.

— Siedzę za blisko niej—pomyślał i odsunął się
nieco, obawiając się, iż w rozterce uczuć rzuci się na
jej ręce, leżące na kolanach, i pokryje je pocałunkami.
Bał się. Nigdy, nigdy już nie otrząśnie się z jej cza-
ru, nawet, gdyby była naprawdę fałszywą, głupią, ze-
psutą,—była bowiem jego przeznaczeniem. Bezgranicz-
na jego niedola pogłężyła go w takie odrętwienie, że
zrazu nie usłyszał głosów i kroków w salonie: był to
Willie, który powrócił do domu z redaktorem.

Wyszli na taras, rozmawiając głośno i budząc
ogólne zdumienie. Uspokoiwszy się, stanęli, jakby się
sami też zdziwili.

VII

Byli razem na uczcie na cześć lokalnego poety,
odkrytego przez redaktora. Tego rodzaju odkrycia na-
leżały do jego zawodu i powołania, były dumą i roz-
koszą jedyne go apostoła literatury na tej półkuli,
osamotnionego protektora kultury, „Niewolnika z po-
chodnią“, jak się sam podpisywał pod tygodniowym
dodatkiem literackim swego dziennika. Nie sprawiło
mu trudności namówienie cnotliwego Williego, który
lubił biesiady, aby mu pomógł w tem zadaniu, i teraz,
pozostawiając poetę, śpiącego na dywanie przed ko-
minkiem w gabinecie redaktorskim, w dzikim pośpie-
chu wpadli do domu Dunster'ów, gdyż redaktor pra-
gął tam oznajmić najświeższe swe odkrycie. Chwie-
jąc się zlekka na nogach, otworzył szeroko usta i za-
wołał jedno słowo: „Odnaleziony!“—Stojąc za nim,
Willie podniósł obie ręce nad głowę i opuszczył je dra-
matycznym gestem. Renouard ujrzał, jak w naglej panice
wszyscy na drugim końcu tarasu zerwali się z krzeseł.

— Mówię wam... że... się znalazł! — wołał z em-
fazą protektor literatury.

— Co takiego? — zawołał Renouard zduszonym
głosem. Panna Moorsom chwyciła go za rękę: dotknię-
cie to wlało mu ogień w żyły, a w gorącej ciszy, któ-
ra go ogarnęła, zaszumiała mu w uszach krew, czy
ogień. Zrobił ruch, aby powstać, lecz powstrzymał go
konwulsyjny uścisk jej dłoni.

— Nie, nie! — Oczy panny Moorsom pociemniały jak noc i spoglądały dookoła niespokojnie. Redaktor puszył się z dumy, a za nim Willie ostentacyjnie dźwigał swe ogromne, ciężkie cielsko, które nawet przez chwilę nie mogło się utrzymać w prostopadłym położeniu.

— Tak... odnaleźliśmy niewinnego Artura... — zaczął redaktor, a potem dodał bardziej urzędowym tonem: — A to z pomocą tego, oto, listu.

Sięgnął do kieszeni i, wyciągnąwszy kawałek papieru, uderzył weń otwartą dłonią.

— To list tej [staruszki. Willie nosił go w kieszeni od rana, to jest od chwili, kiedy go panna Moorsom doręczyła mu, aby go mnie pokazał. Dopiero przed godziną przypomniał sobie o nim, nie przypuszczając, że jest w nim coś ważnego. Trzeba tylko umieć czytać!

Renouard i panna Moorsom wyłonili się obok siebie z ciemności; była to dobrana para: oboje blade i spokojni, jak dwa żywe posągi; panna Moorsom puściła jego rękę. Ujrawszy Renouarda, redaktor zawołał głosem przenikliwym:

— I ty tu!

Nastąpiła chwila milczenia; wszyscy byli, jak za skoczeni, a twarze ich miały wyraz zawziętości.

— Ciebie, Renouard, potrzebowaliśmy właśnie — ciągnął dalej redaktor. — Wybaczenie moje podniecenie. — Ty nam wyjaśnisz wszystko. Powiedziałeś mi kiedyś, że twój pomocnik mówił ci, że się nazywa Walter? Potwierdzasz? Byłem tego pewien. Mam tu, w ręku, list tej staruszki, żony służącego, posłuchajcie, co pisze: „Mogę tylko pani donieść, że mój biedny mąż adresował swe listy do H. Waltera“.

Zduszony okrzyk Renouard'a zgiął w ogólnej rozmowie i szmerze suwanych nóg. Redaktor postąpił naprzód i skłonił się z szacunkiem przed panną Moorsom.

— Pozwoli pani, że jej złożę z głębi mojego serca powinszowania z powodu... z powodu... szczęśliwego zakończenia.

— Zaczekaj chwilę — Renouard zaczął jąkać niepewnie.

Redaktor rzucił się na niego ze zwykłymi przyjacielskimi wymówkami:

— Ach, co za numer z ciebie! Jak będziesz przebywał dłużej w takiej samotności, dojdiesz do poziomu umysłowego dzikich ludzi. I pomyśleć sobie, że niczego się nie domyślałeś miesiące całe, żyjąc z tym młodym człowiekiem, bezwątpienia dobrze wychowanym, wybitnym, niezwykłym: był on przecież wyróżnionym — (tu znów się skłonił) — przez pannę Moorsom, którą wszyscy podziwiamy.

Tu panna Moorsom odwróciła się od niego plecami.

— Na Boga, Geoffrey, czyś mu nie zatruł życia? — zapytał redaktor Renouard'a szeptem, odciągając go na stronę.

Renouard, gwałtownie schwyciwszy krzesło, usiadł i, podparłszy się łokciem o kolano, oparł głowę na dłoni. Stojąca za nim siostra profesora, załamawszy ręce, patrzyła w niebo. Pani Dunster zacisnęła dłonie, i patrzyła ze smutkiem na Willie'go. W jakimże dziwnym stanie był jej wzorowy siostrzeniec! Zaczernieniony, z okropnie potarganymi rzadkimi włosami, zwykle tak starannie ułożonymi na łysej czaszce, która teraz była purpurowa i dymiąca.

— Czemu nie odpowiadasz, Geoffrey? — zapytał redaktor, nieco zbity z tropu ogólnym milczeniem, jak gdyby się był spodziewał, że będą krzyczeć i tańczyć z radości.

— Walter jest na twojej wyspie?

— Tak, jest — odparł Renouard, nie podnosząc wzroku.

— No! to dobrze! — Redaktor rozejrzał się dookoła, jak gdyby błagając o odpowiedź, ale jedyna, jaką usłyszał, była dość niespodziewana. Sentymentalny Willie, znudzony tem, że nikt na niego nie zwracał uwagi, a także rozzuchwalony nieco wypitym alkoholem, odezwał się złośliwie pijackim głosem, dość niezwykłym, jak dla człowieka, tak zrównoważonego:

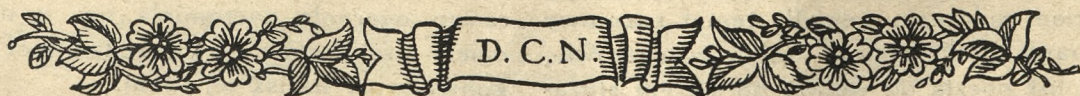
— Ale go tu jeszcze niema — niema! — zaśmiał się szyderczo, — jeszcze go niema!

Ublizające to wystąpienie, podziaławszy na redaktora, jak uderzenie szpicruty na znarowionego konia, podrzuciło go poprostu do góry.

— Co przez to rozumiesz? Cóż z tego, że go tu jeszcze niema? Naturalnie, że go tu niema! Ale jest zagłowiec Renouard'a, który można zaraz po niego wysłać. Nie! Poczekajcie! Mam jeszcze lepszy pomysł. Profesorze! dlaczego nie popłynęlibyśmy wszyscy razem na Malatę? Zyskalibyśmy na czasie, i pewien jestem, iż panna Moorsom będzie wołała...

Z ruchem ręki, pełnym galanterji, rozejrzał się za panną Moorsom, lecz ona gdzieś znikła. Trochę go to zmroziło.

— Ach! Hm! tak! Dlaczego by nie?! Będzie to przyjemna wycieczka, na rozkosznym statku, w czasie rozkosznej pogody, w rozkosznej misji, rozko... Nie, nikt nie może mieć nic przeciwko temu. Geoffrey, o ile wiem, ma bungalow trzy razy za obszerny dla niego samego, może więc wszystkich pomieścić, a będzie to dla niego wielką przyjemnością. Każdy czułby się szczęśliwy, gdyby mógł dopomóc do takiego spotkania.



NOWOCZESNA SEMIRAMIDA

PASTEL NA MARGINESIE MIĘDZYNARODOWEGO KONGRESU MEDYCYNY WOJSKOWEJ



Dr. Semiramis Rifaat

Herbatka dla uczestniczek Międzynarodowego Kongresu lekarzy wojskowych w pałacu Łazienkowskim. Sala balowa zamieniona w wykwintny, wyłączony kobiecy „cercle”. Na galerji przygrywa orkiestra wojskowa. Hałaśliwe tony trąb, niczem ostre strzały słoneczne, przecinają skłębioną chmurę wielojęzycznych rozhovorów. Albowiem tu się zebrały kobiety wszystkich, niemal, ras Europy.

Hiszpanki,—rozkwitłe i płomienne, jak kwiat granatu, dunki, smukłe i jasno-włose, jak kądziele, czeszk i podobne do żralych kłosów pszenicy, rumunki,—żywe, prześlicznie ubrane, perliste w mowie i w ruchach, kuszące, niczem winne grona z winnicy królewskiej, i tyle, tyle innych!

Jakże rad byłby król Staś, gdyby ożył, tym gościom niezwykajnym! Jakże rozplomieniłyby się jagody monarsze, gdy do dostojnych oczu podniósłby, gestem Petronjusza, szczerzo-złote widelki nieodstępnego „lorgnon”, aby źrenice i duszę nasycić tą, jedyną w swoim rodzaju, rewją kobiecą! Intelktualista i esteta—„król słońce” polskiego wieku oświecenia, z jakim wdziękiem prowadziłby dyskurs uczony, w którym żądło dowcipu okryte byłoby kwiatami, podobny do zabiegliwej pszczoły, skrzętnie gromadzącej miody mądrości i kwietny pyłek konwersacji romansowej. Ale napewno złote „lorgnon” wypadłoby z alabastrowej dłoni królewskiej, tonąc w pianie koronkowego żabotu, gdyby on, żałosny jeniec północnej Semiramidy, stanął oko w oko z inną Semiramis, która ze

spokojem i godnością przechadza się po lśniących parkietach sali Salomona.

Myślę o doktorze Semiramis Rifaat, turczynce, uczestniczce kongresu. W jej ogromnych, migdałowych, lśniących, jak agaty, oczach pali się płomień inteligencji, tak rzadki w źrenicach kobiet Wschodu. Ale przesłodka owal twarzy, matowa cera, której koloryt waha się między płatkami białej róży, a kością słoniową, wstrzemięźliwość uśmiechu, pewna omdlałość w ruchach, sarnia bezbronność spojrzenia—mówią o świeżej jeszcze tradycji haremu i muślinowej zasłony, z poza której takie właśnie agatowe źrenice wysyłać musiały groty zabójczych spojrzeń ku słodkiemu udręczeniu rozkochanych w tajemnicy giaurów.

Ale śliczna Semiramis przechodzi wśród pocisków zainteresowania, pod gradem zapytań spokojna, słodko i obojętnie rozmarzona.

— Miałam lat siedemnaście, gdy pojechałam na medycynę do Monachjum. Rodzina nie stawiała mi przeszkód, przeciwnie, odwiedzała mnie często w moim studenckim zaciszu. Ojciec mój jest adwokatem,—dodaje po chwili milczenia, jakby pragnąc temi skąpymi słowami podmalować tło środowiska, wśród którego wyrosła.

— Jestem trzecią z rzędu kobietą-lekarzem w Turcji. Specjalnością moją są choroby dziecinne.

— Czy pani jest zamężna?

— O nie!—odpowiada uśmiechem,—nie myślę o tem.

W gwarze wielojęzycznym, w zgiełku i pośpiechu kongresowym trudno jest prowadzić wyczerpującą rozmowę. Pani Rifaat jest tak uprzejma, że odwiedza mnie w redakcji. Z ciekawością ogląda nasze wydawnictwa, zabiera numer „Bluszczu”. Zostawia swoją fotografię, która, zresztą, w drobnej tylko części oddaje jej ciekawą, wschodnią urodę i swoisty urok.

Patrząc na nią, myślę, że niepodobna jest zgoda do pierwszych pionerek ruchu feministycznego u nas. Jest piękna, bardzo kobieca, ładnie i starannie ubrana. To, co się zowie, estetyczna. I mimowolnie myślą biegnę tam, do Stambułu, i widzę kształtną główkę i agatowe, zawsze wilgotne oczy, podobne do ciemnych bratków, zroszonych przed świtem, wpatrzone czule i badawczo w twarzyczkę małego pacjenta.

Te długie, białe grządki szpitalnych łóżeczek, rozkwitające różowemi i śniademi stokrotkami ciałek dziecięcych, to twoje wiszące, czarodziejskie ogrody, nowoczesna Semiramido, córo wschodu, szukająca w nich słodkiej ochłody, jakiej dać ci nie mogły najpiękniejsze wirydarze haremu!

S. P. O.

Kobieta w świecie i w domu

ODEZWA DZIECI WALLIJSKICH

Dzieci z ks. W. Walji wydały do dzieci całego świata odezwę, w której ślą im pozdrowienia i proszą o słuzenie ideałom powszechnego braterstwa, jako gwarancji najlepszej przeciwko powstaniu się okropności niedawno przebytej wojny.

Odezwa ta, kończąca się okrzykiem na cześć Ligi Narodów, będzie odczytana przez wszystkie stacje nadawcze radiowe.

W odpowiedzi na tę piękną odezwę, minister oświaty Dobrucki przesłał dzieciom wallijskim wraz z pozdrowieniem — zapewnienie, że dzieci polskie łączą się również z niemi w umiłowaniu ideału powszechnego pokoju wśród wszystkich ludów tego świata.

ETYKIETA DWORSKA

Co roku, przy końcu wiosny, odbywa się w Londynie, w pałacu Buckinghamskim, uroczysty ceremoniał defilady przed parą królewską „pełnoletnich” arystokratek, które po tem dworskiem oficjalnem przyjęciu rozpoczynają karierę w wielkim świecie.

Ceremonja ta poprzedzana bywa długotrwałą nauką ukłonów dworskich i przygotowaniem przepisowych, mocno staroświeckich, strojów, przydatnych tylko na ten jeden występ w pałacu.

W tym roku wśród sfer wyższych zapanowała nielada konsternacja, gdy oznajmiono niespodziewanie, że na przyjęcia dworskie nie będą dopuszczane damy i panny... z krótko obciętemi włosami. Właściwie, królowa nic nie ma przeciwko temu, ale król angielski nie znosi krótkich włosów u pań...

Wśród kandydatek „pierwszego wyjścia w świat”, a szczególnie wśród bogatych amerykańek, zapanowało wielkie wzburzenie. Już obstalowywano sobie fałszywe warkocze... gdy dekret królewski został zmieniony.

Na przyjęcie dworskie zostaną dopuszczone wszystkie te damy, które potrafią umocować w swych włosach przepisowe trzy olbrzymie strusie pióra.

W jaki to sposób będzie zrobione — wszystko jedno!

Krótkowłose panie odetchnęły zapewne z ulgą... myśląc po cichu: — Cóż to za zacofany człowiek z tego króla angielskiego!!

PRECZ Z KUCHNIAMI DOMOWEMI!

Znany bardzo uczony francuski, dr. H. Dejuste, kierownik laboratorium do badania środków spożywczych w instytucie Pasteura, wystąpił naraz, na łamach wszystkich pism paryskich, jako zacięty wróg obecnej organizacji gospodarstwa domowego.

Dochodzi on do wniosku, że „gotowanie w domu obiadów zaczyna być skandalem XX wieku, i należy ten zwyczaj zaliczyć do pozostałości z czasów jaskiniowych”.

Profesor-chemik proponuje więc, aby zastąpić kuchnie domowe — „zakładami żywnościowymi”, kierowanymi przez fachowców i doświadczonych specjalistów.

Taki „zakład żywnościowy” stanie się błogosławieństwem dla kobiet wszystkich warstw w każdym społeczeństwie.

Pewne towarzystwo kulinarne w Paryżu ma zamiar uruchomić właśnie taką fabrykę za parę miesięcy. Na czele zakładu będzie stał jeden z najznakomitszych kuchmistrzów paryskich, który będzie układał „menu”. Przeszło 10.000 rodzin będzie mogło korzystać codziennie z takiej jednej fabryki.

Każda rodzina, od najbiedniejszej do najzamożniejszej, będzie mogła zamówić przez telefon potrawy, jakie zechce, a specjalne, olbrzymie auto ciężarowe, ogrzewane wewnątrz parą, przywiezie w przeciągu kwadransa gotowe już dania pod wskazanym adresem. Nie będzie to nic, a nic drożej kosztowało, przeciwnie: przyrządzenie potraw w takiej ilości pociągnie za sobą z pewnością obniżenie ceny na każdej potrawie w sprzedaży detalicznej.

Według zdania Dr. Dejusta, będzie to olbrzymi krok naprzód w dziejach cywilizacji ludów. Równouprawnienie i wyzwolenie kobiet znacznie dopiero wówczas rozwijać się, gdy kobieta pozbedzie się kuchennego niewolnictwa, które zabiera jej dziennie 3—4 godziny przy piecu, 1—2 godziny na kupno artykułów spożywczych i przyniesienia ich później z wielkim móżdżkiem do domu.

Zmudna ta praca (nota-bene, nigdy przez panów-mężów nie oceniona należycie) niszczy zdrowie i urodę kobiet, przytępia też w każdej jednostce wszelkie zdolności przyrodzone i fantazję.

ZJAZD W NANCY

Dowiadujemy się z pism francuskich, że tegoroczny zjazd organizacji francuskich w Nancy, prowadzących katolicką akcją społeczną, przygotowuje cały szereg ciekawych referatów, obejmujących zagadnienie roli kobiety w społeczeństwie.

Miedzy innemi wysuwane są następujące tematy:

1. Aktualność problemu kobiecego.
2. Kobieta i katolicyzm.
3. Kobieta i życie religijne.
4. Wykształcenie kobiety współczesnej.
5. Kobieta, a zawód.
6. Kobieta, a życie obywatelskie.
7. Kobieta, a życie rodzinne i t. d. i t. d.

Zagadnienie roli kobiety w życiu państw cywilizowanych zostanie oświetlone wszechstronnie i przyczyni się zapewne w dużym stopniu do ustalenia poglądów na całą tę kwestję.

PIERWSZA JAPONKA — LOTNIKIEM

Z jakąż niewiarogodną szybkością znika z jej zacofaniem obyczajami i poglądami dawna Japonja, ustępując miejsca państwu nawskroś nowoczesnemu.

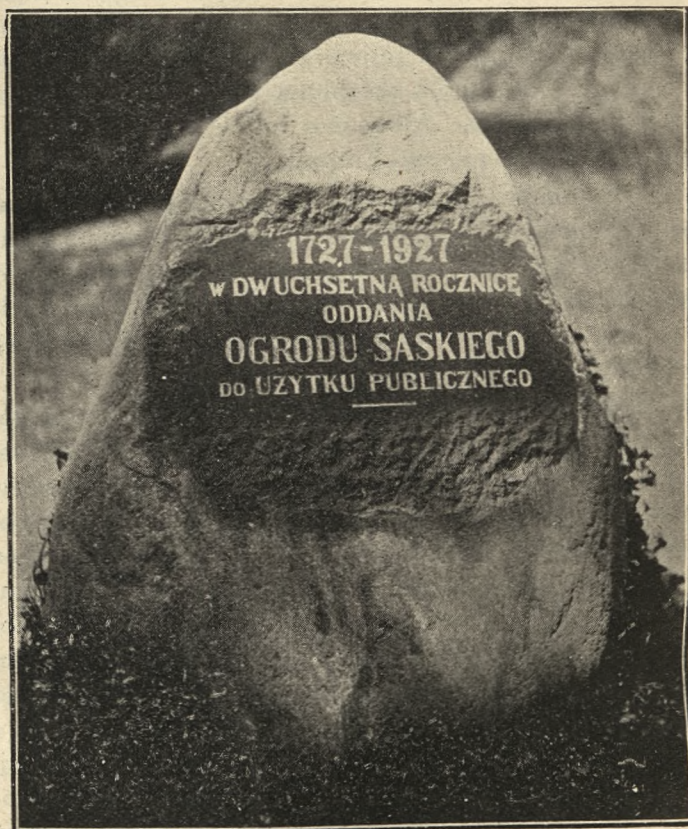
A najbardziej zdumiewa ruch feministyczny, który rozrasta się obecnie w Japonji.

Młode japonki wyjeżdżają tłumnie z ojczyzny swej na uniwersytety amerykańskie i europejskie, aby po powrocie do kraju odgrywać rolę, równą mężczyźnie.

Na wzór wyższych uczelni zagranicznych, powstają zresztą odpowiednie szkoły w Japonji.

Ostatnio, dwie pierwsze japonki: Szybeno Kibe i Asano Maida — ukończyły właśnie szkołę pilotów-lotników.

Są to pierwsze jaskółki w państwie wschodzącego słońca. Pilotki wzięły udział w konkursie lotniczym, podczas którego szczególnie została wyróżniona malutka, a dzielna Szybeno Kibe.
H. S.



W ostatnich dniach maja obchodzono uroczystie dwuchsetną rocznicę Ogrodu Saskiego. Zdjęcie nasze przedstawia kamień pamiątkowy

KONIEC FRYZURY „À LA GARÇONNE“

Kto pierwszy wprowadził modę krótkich włosów?—słyszymy często zapytanie — Był nim sławny fryzjer paryski „Antoine“.

A dziś... kiedy prawie wszystkie kobiety, nie tylko we Francji, ale we wszystkich krajach europejskich, najbardziej w Ameryce — poobcinały sobie włosy i zgoliły mniej lub więcej zgrabne karczki—dziś popularny wynalazca fryzury „à la garçonne“ rozpoczyna zacięłą walkę przeciwko tej modzie. We wszystkich dziennikach francuskich ukazały się efektowne feljetony tego namiętnego przeciwnika krótkich włosów. „Kobiety, dzięki chłopięcej fryzurze“, pisze Mr. Antoine, „straciły urok kobiecości. Jestem pewny, że za parę lat powróci stara moda długich włosów.“

Największą karą dla mnie, wynalazcy fryzury „à la garçonne“ był fakt, że żona moja, która posiadała niezwykle długie i piękne złote włosy, obcięła je za moją namową. Nie odrosną już nigdy... takie piękne. Nie dziwię się, że królowe mody międzynarodowej wszystkie wielkie artystki filmowe, od kilku miesięcy lansują po nownie długie włosy.

Sławna Huguette Dufors cieszy się, że po pół roku męczarni z fryzurą—posiada obecnie znowu długie włosy. Pola Negri nie obcina już włosów od trzech miesięcy. Gloria Swanson—nawet od pół roku. Najpiękniejsza dziewczyna Francji, która wyruszyła na międzynarodowy konkurs piękności do Ameryki, dlatego otrzymała największą ilość głosów, aby reprezentowała, jako „M-elle France“, swoją ojczyznę... że, prócz urody, posiadała długie, puszyste, piękne włosy!..

KOBIETY - PACYFISTKI W SŁUŻBIE POKOJU MIĘDZYNARODOWEGO.

Dnia 8-go maja odbyły się w Bytomiu obrady niemiecko-polskiej konferencji pogranicznej, zwołanej przez Międzynarodową Kobiecą Ligę Wolności i Pokoju.

Na wiecu w teatrze miejskim przemawiały przedstawicielki polskie: dr. Tylicka—o potrzebie pacyfizmu, pani Dąbska—o potrzebie moralnego rozbrowienia, oraz przedstawicielka niemiecka pani Kirchoff—o niemiecko-polskim porozumieniu.

Wczasie konferencji odbyły się wiece w Bytomiu i w Katowicach.

Pacyfistki przyjęły jednomyślnie następujące rezolucje:

1. Porozumienie niemiecko-polskie stanowi część międzynarodowego porozumienia i powinno opierać się na zasadach dobrej woli i sprawiedliwości.

2. Polska i niemiecka sekcja Międzynarodowej Ligi Kobiet dla Pokoju i Wolności wyłaniają wspólną stałą komisję (ślaską), której zadaniem będzie badanie zagadnień mniejszości narodowych, zbieranie materiałów etnograficznych, statystycznych i innych, oraz studiowanie warunków bytu mniejszości.

3. Niemiecko-polska konferencja uważa ochronę mniejszości za podstawowy obowiązek państwa. Tak polskie, jak niemieckie państwo ma obowiązek wysłuchać mniejszości, ich żądań, zbadać i zadość uczynić ich prawom.

4. Obecny stan państwa polskiego i niemieckiego stanowi podstawę naszej polsko-niemieckiej pracy porozumiewawczej.

5. Konferencja żąda wzajemnej wymiany, wzajemnego popierania na polu nauki i sztuki, literatury i prasy.

6. Ponieważ rozbrowienie moralne jest podstawowym czynnikiem porozumienia między obu sąsiadującymi narodami, konferencja wypowiada się stanowczo przeciw wszelkim podburzającym środkom, jak szerzenie nienawiści przez prasę, filmy i inne czynniki.

7. Konferencja uważa, że zadaniem szkoły jest wychowywanie młodzieży w duchu wolności, i w tym celu wypowiada się za urządzenie wspólnych zjazdów polskich i niemieckich nauczycieli.

H. S.

GLUSI SŁYSZĄ.

WYNALAZEK DR. KRAKOWSKIEJ

W ostatnich czasach w prasie codziennej coraz częściej ukażą się wzmianki o stosowanej w Ameryce „nowej metodzie rozwoju słuchu u głuchych, drogą kształcenia zmysłu wibracyjnego“ i doprowadzenia dźwięków do świadomości głuchego przez klatkę piersiową, kończyn i t. p.

Otóż metoda owa nie jest ani nową, ani też wynalazkiem amerykańskim. Jest to wynalazek D-ra N. Krakowskiej, która pierwsza trafiła na pomysł doprowadzenia dźwięków do świadomości głuchego drogą wibracyjną, wbrew wszystkim poprzednim metodom, które nie tylko kierowały dźwięk bezpośrednio do ucha, ale starannie usuwały udział wibracji z procesu percepcji dźwięków.

Dr. Krakowska zaczęła stosować tę metodę we własnym zakładzie dla głuchoniemych, głuchych i jękałów w Kijowie jeszcze 25 lat temu, stopniowo rozszerzając i pogłębiając swą metodę w kierunku nie tylko akustycznym, lecz i psychofizjologicznym. — dążąc do tego, żeby głuchy nie tylko zaczął słyszeć, ale żeby łatwo rozumiał dosłyszane zdania, — co właśnie jest najtrudniejszą stroną zadania.

W r. 1913 na Wszechrosyjskiej Wystawie w Kijowie metoda ta była demonstrowana i nagrodzona wielkim medalem srebrnym.

W Warszawie metoda ta była stosowana w nowopowstałej żydowskiej szkole dla głuchoniemych od r. 1923 do 1925, gdzie była niejednokrotnie demonstrowana przed odwiedzającymi szkołę amerykańskimi lekarzami i działaczami społecznymi, z ramienia Amerykańskiego Towarzystwa Dobroczynnego I. D. C., skąd prawdopodobnie pomysł ten doszedł do Ameryki, gdzie został wypróbowany i zastosowany.

W Warszawie zaś obecnie ta metoda jest stosowaną przez D-ra Krakowską tylko w praktyce prywatnej. — i 25/III r. b. była demonstrowana w Zrzeszeniu Lekarzy Wojskowych (Dział Sanitarny Towarzystwa Wiedzy Lekarskiej). Dr. Krakowska (Wspólna 58. m. 2.) Przyjmuje — w poniedziałki, wtorki, i czwartki, godz. 6 — 8 wieczór.

JUBILEUSZ ARTYSTKI

Z powodu czterdziestolecia pracy scenicznej

Wandy Siemaszkowej

Wszyscy mamy świeżo w pamięci niezapomnianą kreację Siemaszkowej: Rudomską, w „Ponad Śnieg“ — Żeromskiego, wybraną przez artystkę w dniu jubileuszu. Rzadsi są już ci, co ją widzieli w „Szalonej Julce“ i Młynarce z „Zaczarowanego Koła“, rolach, które pono były węgielnymi kamieniami triumfalnego łuku, wzniesionego przez talent artystki. Co gorsze, dla wielu z nas te sztuki, które tak wzruszały i oburzały naszych rodziców, są już czemś martwym i nieciekawym, czemś, nad czem się przechodzi do porządku dziennego, wzruszając ramionami nad naiwnością niektórych koncepcyj dramatycznych.

W tem przemianiu dzieł sztuki jest dziwna, pełna rezygnacji, melancholija. Melancholję tę musi dziś odczuwać jubilatka, chociażby dlatego, że jubileusz jej święci Lwów, miasto kochane i kochające i umiające okazać swą miłość. Ale Lwów—nie Warszawa. Po czterdziestu latach pracy w pierwszorzędnych teatrach, miała artystka prawo spodziewać się jubileuszu w stolicy. Może żywy żal, że nie znalazło się dla niej miejsca w teatrze Narodowym. Czterdzieści lat pracy... Lata nadziei i oczekiwania na rolę, radość z pierwszego, powierzonego sobie epizodu, gorzkie łzy rozczarowania... Lata rozterki i zwątpienia we własne siły, wzloty i upadki, zmagania się z wszechwładną, teatralną intrygą... Lata triumfu: oklaski, uwielbienie, zachwyty tłumów, świetne recenzje, olbrzymi poczet doskonałych ról... i wtedy, gdy się sądziło, że się jest nazawsze na szczycie, znowu staczanie się po linii pochyłej, ustępowanie miejsca młodszemu, nieraz tylko szczęśliwsiemu.

Niestrudzona energia artystki nie pozwala jej na gnuśne załamywanie rąk i bierność poddawanie się życiowej fali. Twórcza potrzeba działania zaprowadziła ją aż do Ameryki, w ślady jej wielkiej poprzedniczki, Modrzejewskiej, gdzie organizowała teatry, urządziła wieczory deklamacyjne, zapoznając rodaków na obczyźnie z pięknem mowy ojczystej. Co więcej, nie przerażała jej nasze teatry prowincjonalne: nie wahała się szlachetnym kruszcem swego talentu ratować ich budżety, podnosząc już samą swą obecnością poziom artystyczny i moralny.

Życie Wandy Siemaszkowej jest jak dzień, pełen trudu i znoju. Jak rolnik po dniu pracowitym spokojnie wita zachód słońca, oglądając zaorane skiby, tak i artystka, oglądając się w przeszłość, może sobie powiedzieć, że żyła pełną piersią i wszystko, co miała do zrobienia, zrobiła. A łzy szczerzego wzruszenia przez słuchaczy wylewane, większą jej były nagrody, niż oficjalny jubileusz na scenie stołecznej, jubileusz, który ją niesłusznie omiął. A że lata pracy, nie łamiąc ducha, nie zdołały również pochylić jej postaci, wierzymy, że jeszcze długie lata będzie nas czarować swym, zawsze młodym talentem.

Well.

Z WYSTAW

Dnia 8.V b. r. otwarto w kamienicy Baryczków XXIV z rządu wystawę Tow. Opieki nad zabytkami przeszłości, p. t.: „Sztuka polska w zbiorach państwowych“.

Na wystawie znajdują się przeważnie dzieła malarzy ostatniej doby, jakkolwiek jest tu też kilka obrazów z okresu Stanisława Augusta, a pierwsza połowa XIX w. reprezentowana jest przez Brodowskiego, Julj. Kossaka (po jednym obrazie). Dalej pokazano nam niewielki obrazek Matejki: „Śmierć Tęczyńskiego“, niewątpliwie jedno ze słabszych jego dzieł. Jest też jeden Brandt, jeden Malczewski (znów, bodaj, najslabszy), kilku Fałatów, jest parę rysunków temperą Wyspiańskiego... Ze sztuki najnowszej, z każdego potrochu: garść rysunków Noakowskiego, gobelin Stryjeńskiej, jedna akwarela Skoczylasa, jeden obraz Borowskiego, dwa portrety Pruszkowskiego... Są też rzeźby Kuny, Dunikowskiego, Trzczińskiej-Kamińskiej.

Bardzo miło i pożytecznie jest patrzeć na obrazy naszych wybitnych malarzy, ale cała ta wystawa sprawia wrażenie przypadkowości, brak jej idei przewodniej. Co ma oznaczać Malczewski obok Chełmońskiego, albo Lenz na tej samej ścianie, co Brandt i Julj. Kossak? Przytem, jakby rozmyślnie, wszyscy prawie malarze reprezentowani są przez swe najsłabsze obrazy (prócz wymienionych już, — Wyspiański, Skoczylas, Ślodziński i inni).

* * *

Nowa wystawa w „Zachęcie“ posiada jeden tylko punkt jasny: jest to zbiór karykatur Zdzisława Czermańskiego. Dzielią się one na dwa działy: „Warszawa w karykaturze“ i „Karykatury z Ligi Narodów“. O ile te ostatnie są może mniej ciekawe dla przeciętnego widza, o tyle pocziwa, skarykaturowana „Warszawka“ usposabia odrazu świetnie. Patrząc na te, tak dobrze znane, twarze naszych kochanych sław i znakomitości (i to bez żadnego przekasu: przecież większość — to doprawdy nasze sławy!), człowiek zaciera ręce: „A to go ubrał!“ Ale bez żadnego złośliwego nastawienia się, raczej z przyjacielską życzliwością. Bo też te karykatury nie są zjadliwe, ani jakoś przykro sarkastyczne: one tylko niezmiernie dowcipnie wyciągają z „pacjenta“ zasadniczą jego „idée fixe“, to, co jest motorem jego wielkości i jednocześnie — jak to zwykle bywa — jego słabością; — i pokazują to w pełnej kulturze i umiaru artystycznego szarzy, od strony dyskretnie groteski. (Dokonałe przykłady: Tuwim, jako bosy idylliczny chłopiec, grający na fujarce, albo niezrównany Jarossy). Największą jednak zaletą tych karykatur jest połączenie z temi walorami natury, właściwie literackiej, doskonałych rozwiązań formalnych. Wszystko to sprawia, że karykatury Czermańskiego stanowią dla nas przemiłą niespodziankę.

Z bólem serca trzeba się od nich odwrócić i spojrzeć na to, co się pozatem dzieje w „Zachęcie“. Wystawa konkursowa: „Rzeźba polska“, niestety, bardzo zawiodła. Naogół albo powtarzają się stare „główki“ i „akty“, umiane już przez nas na pamięć, nie wykazujące żadnej twórczej potrzeby wewnętrznej, żadnego musu artystycznego, poprostu kopie nieskończenie przewyższających je wzorów, (więc „cui bono“, właściwie?), albo też — i tych jest znaczna większość, — jakieś twory, przez zupełny brak wszelkiego, choćby prymitywnego, związania i jednolitości, wogóle na nazwę rzeźby nie zasługujące.

Poza Dunikowskim i Trzczińską-Kamińską, (która wystawiła jedną tylko rzeźbę: „Głowa Żeromskiego“) jedynie ciekawymi indywidualnościami są: przedewszystkiem p. Zerych, którego „Św. Franciszek“ pełen jest niezwyklej siły ekspresji, a świetna głowa prof. Noakowskiego — nadzwyczajnej zwartości monumentalnej — i p. Miszewski, którego ładna „Głowa kobieca“ zdaje się zwiastować szerokie możliwości artystyczne.

Kilka sal zajmuje wystawa „Zrzeszenia Polskich Artystów Plastyków“. Panowie ci i panie są bezlitośni. Każą podziwiać wi-

dzom swe czarujące i słodkie „Odaliski“ i „Pomony“ (o Boże! jakże gorzko robi się człowiekowi od tej słodyczki!) swe, koszmarnie zaiste „Baśnie“, oraz inne pejzaże „Po deszczu“, które nasstrajają patrzącego istotnie bardzo słotnie i ponuro.

Jest rzeczą zamięnną i niejako symboliczną, że, gdy „Zachęta“ znajduje miejsce dla podobnych okazów, jak malowidła „Zrzeszenia Polskich Artystów Plastyków“ — jedno z najpoważniejszych naszych ugrupowań artystycznych urządza swą wystawę poza murami oficjalnego, naszego „przybytku sztuki“ — w małym salonie p. Garlińskiego. Wystawy Tow. Art. Pol. „Rytm“ uchodzą już dzisiaj w szerokiej opinii kół krytycznych i interesującej się sztuką publiczności za ewenement w życiu artystycznym Warszawy i spotykają się z zainteresowaniem istotnie głębszym. Sądję, że dzieje się tak nietyle ze względu na jakość postulatów, które wysuwa (nie grzeszą one, bowiem, żadnem nowatorstwem, a całe stowarzyszenie ma charakter wybitnie centrowy), ile dzięki temu, że skupia ono znaczną część najciekawszych i najbardziej utalentowanych indywidualności artystycznych, że pozatem zdradza porządną, solidną pracę, kulturalne operowanie wiedzą malarską, że jest to, krótko mówiąc, zgromadzenie malarzy, prawdziwych malarzy, a nie jegomościów, bawiących się po dyletancku farbą i płótnem.

W obecnej wystawie bierze udział tylko część „Rytmu“. Władysław Skoczylas, pierwszorzędnym przedewszystkiem w dziedzinie grafiki, wystawia tym razem tylko akwarele (przeważnie motywy z Włoch), nieco mniej może interesujące. Ślodziński — klasyk i paseista „Rytmu“ — nadesłał jedną tylko rzecz, („Muzyka“), stanowiącą ciekawy przykład nowych metod i poszukiwań artysty: zespolenie płaskorzeźby z malarstwem.

Pruszkowski i Rzecki nadesłali przeważnie portrety. Pruszkowski jest dziś w „Rytmie“ najbardziej zbliżony do impresjonizmu.

Bardzo ładne w kolorze i ciekawe w zestawieniach barwnych, są prace Niesiołowskiego Tymona i W. Wąsowicza. Ze wszystkich wogóle, biorących udział w wystawie, najlepsze, rdzennie „malarzkie“ poczucie barwy zdradza Wąsowicz.

Wystawa „Rytmu“, nie wnosząc może żadnych rewelacyjnych zdobyczy, wykazuje jednak poważną, kulturalną pracę artystyczną, jest świadectwem równomiernego posuwania się naprzód. I. J.

Z KSIĄŻEK

Janusz Wilatowski — Koń w życiu polskim — Rys. historyczno-obyczajowy — wyd. „Biblioteki Dzieł Wyborowych“ str. 125,

Koń w Polsce nigdy nie chodzi luzem, Towarzyszy mu zawsze wierny, jak cień, niezawodzący afekt człowieka. Liczny poczet godnych antenatów ma w tym afekcie p. Janusz Wilatowski, autor miłej, bezpretensjonalnej, serdecznej książeczki, w której koń, widziany przez pryzmat literackiej kultury, traci może na bezpośredniości i pierwotności wrażenia, ale dla czytelników „oczytanych“ zyskuje na ekspresji i sile wyrazu.

Sympatyczny szkic p. J. Wilatowskiego ukazał się bardzo na czasie, gdwż w przeddzień Międzynarodowych Konkursów Hippicznych w Warszawie, i może się stać miłym upominkiem dla wszystkich miłośników, jeźdźców i hodowców koni. Tę zrecznie ułożoną „antologię“ końską kraszą umiejętnie dobrane cytaty z literatury staropolskiej i współczesnej. Spotkamy się tam i z Fabjanem Birkowskim i z Dorohostajskim, autorem „Hippiki“, i z Kubalą, i z Żeromskim, i z Bartkiewiczem, i z Kossak-Szczucką. Wszystko do brzy znajomi i konia miłośnicy dzielni.

Z ich słów barwnych i toczonych, jak paciorki koralu, spleciono kosztowny i rzadki rząd na konia legendy, konia kmicich podjazdów, morskich przepraw Czarneckiego, wiedeńskiej wiktoryi, szarż ułańskich i powstańczej leśnej partyzantki. Bo koń w imaginacji polaka łączy się zawsze z pojęciem ducha rycerskiego: Takim żył, takim rósł, takim ginął w wojennej potrzebie. S. P. O.

O KINIE

Duszą filmu jest reżyser. On przerabia utwory literackie i koryguje scenariusze, przez specjalistów pisane. Mając w ręku treść przyszłego filmu, stwarza w wyobraźni wizję obrazu, zamawia u architektów i malarzy dekoracje odpowiednie, jak i stroje; jest ich natchnieniem, albowiem swoje koncepcje każe im realizować, wreszcie dobiera sobie zespół aktorski. Mam na myśli Amerykę. Tam zwrócono szczególną uwagę na odpowiedność typu aktora do jego roli. Są wieczyste słodkie dziewczyny, jak Liljanna Gish, są demoniczne wampiry, jak Nita Naldi, są uwodziciele, kokietki, typy zdrowe, normalne, chorobliwe, typy męskie jak Milton Sills, pocziwe, jak Tom Moor, i wiele, wiele innych. To—śród gwiazd. Jeśli chodzi o tłum drugorzędny i statystów, to są oni literalnie skatalogowani. Mamy rubrykę wysokich, niskich, grubasów, ułomnych, rzezimieszków i grandów. Wszystkie możliwe kreacje ludzkich postaci: od dzieci po starców, od stróżów—do książąt. Na żądanie zamawia się potrzebny numer. W wyjątkowych razach poszukuje się odpowiedniego okazu przez agentów np. człowieka bez ręki, bez oka, bez uszu, lub z innym defektem.

Jak wielką jest władza reżysera, świadczy choćby ten fakt, że niejednokrotnie najwięksi artyści ekranu podporządkowują się jego władzy, o ile sami nie reżyserują sztuki, co się często zdarza. Reżyser jest panem absolutnym przez czas trwania zdjęć, muszą go słuchać bezwzględnie. Albowiem nosi on w sobie koncepcję całości, widzi ją nie we fragmentach, ale wykończoną.

A należy pamiętać, że film powstaje nie w tej kolejności, jak go widzimy potem na ekranie. Oddzielnie robi się zdjęcia ze scen, rozegranych we wnętrzach, a więc w atelier, oddzielnie—zewnętrzne, na tle natury. A jeszcze kiedy indziej, w filmach ekscentrycznych, pseudo-podróżniczych, czy awanturniczych, gdy tło musi być jakieś specjalne: Niagara, góry, morze, Riwiera europejska, czy tło miast, jak często Paryż. Wówczas udają się specjalne ekspedycje do wskazanych miejsc. Reżyser musi pamiętać, aby robione po długiej nieraz przerwie zdjęcia dalszego ciągu, pasowały nietylko odpowiedniością tła, czy charakteryzacją, ale nastrojem duszy aktora, w zależności od roli, co się musi przejawiać w spojrzeniu, uśmiechu, ruchu. Reżyser przypomina treść roli,stawia, że się tak wyrażę, aktora i dopiero każe mu grać. Robią próbę jedną, drugą, wreszcie fotografują.

Jeśli reklama głosi, że film ma tyle, a tyle metrów długości, to bądźmy pewni, że zużyto taśmy co najmniej trzy razy tyle. Nie mówiąc już o zdjęciach nieudanych, chybionych, uznanych za nieodpowiednie z tych, lub innych powodów, ale w Ameryce, zresztą i w Europie, robią od razu zdjęcia dwoma i więcej aparatami. Z paru zbliżonych punktów. Uwiecznia się w ten sposób każdą scenę z kilku miejsc. Potem na próbnym wyświetlaniu filmu, a właściwie jego odcinków, wybiera się najlepsze zdjęcia. A jeszcze później z tych wybranych kawałków dobiera się znów lepsze, odrzuca zbędne fragmenty, czasem dorabia nowe, nieraz już po ukończeniu kręcenia (kręcić film—techniczne w świecie kinowym określenie zrobienia filmu, dokonywania zdjęć)—całego obrazu, i dopiero powstaje całość. Ta całość, która później bywa jeszcze w niemożliwy sposób trzebiona przez poszcze-

gólnych właścicieli kin, (mam na myśli Warszawę), a to w celu skrócenia czasu wyświetlania obrazu. Aby więcej programów (3—4 do 5) dać co wieczoru, opuszcza się różne sceny, z wielką szkodą dla całości. Wielkie kina, choćby w Paryżu, dają po dwa seanse dziennie, gdy u nas co najmniej trzy muszą mieć miejsce. Wytwórnice powinnyby to sobie zastrzegać, bo obrazy tracą na tem często niezmiernie. Nieraz widzimy w wystawionych fotografiach sceny, których potem na ekranie brakuje. Jest tu jeszcze druga przyczyna: Obok filmowania, robią się czasem zdjęcia z poszczególnych scen zwykłym aparatem, otóż bardzo często aktorzy przyjmują inne pozy i zgrupowania.

Wróćmy do reżysera. O ile praca jego jest niesłychanie ciężka, to w tym samym stopniu jest też to i wdzięczne zajęcie. Ma on zupełnie nie skrepowaną wolę. Ogromne fundusze pod ręką (myślę o Ameryce), materiał ludzki i rzeczowy. Można puścić wodze fantazji. Niektóre filmy trzymają się banalnych dróg dramatu salonowego, komedji, bez nadzwyczajności, ale są dziedziny, gdzie trzeba rzeczywistego geniuszu, by stworzyć potężną we wrażeniu całość. Tu reżyserja amerykańska i europejska są zbliżone; zresztą wielcy reżyserzy pochodzą przeważnie z Europy, są oni własnością świata.

Mamy moc różnych odmian obrazów. Weźmiemy bajki. Można je traktować naturalistycznie i fantastycznie. Bajka, to bajka. Nie potrzebuje się krępować nie-realnością dekoracji. I w głowie reżysera powstają jakieś obrazy, jakieś sceny, które potem realizuje za pomocą dekoracji i artystów. Ileż triumfu, gdy film się uda! Gdzież lepiej, jak nie w kinie można urzeczywistnić bajkę, przy wszelkiego rodzaju sztuczkach i sposobach filmowania?

A potem, całe szeregi zdjęć z rzeczy, istniejących jedynie w wyobraźni ludzkiej, mogących być różnie traktowanymi. Naprzykład film: „Głosy samobójców” posiadał scenę, gdy dwoje desperatów znajduje się po śmierci na drodze do bramy wieczności. Nie wchodzi w stronę religijną obrazu. Ale spojrzmy na sam pomysł ogromnej drogi wśród czarnej nocy, usianej gwiazdami, zawieszzonej w otchłani, na jej końcu świeci brama potwornym otworem. Idą zmarli nieskończoną kolumną, wszystkie stany, rasy, wieki, cała ludzkość miarowym krokiem zmierza ku niej. Albo taka scena, jak modlitwa jednej ze zmarłych, klęczącej na brzegu drogi, słana ku mężowi, żyjącemu na ziemi, i jego nagła myśl o niej w tej samej chwili i spełnienie jej życzenia. Niesposób słowami opisać, jak to było oddane na ekranie, ale wrażenie było ogromne, i czuło się myśl, jaką chciał wyrazić reżyser. Na to trzeba geniuszu. Wiele i to bardzo przeróżnych przykładów możnaby przytoczyć. Choćby w jednej z bajek niemieckich: „Gabinet figur woskowych”. Scena zamętu we wnętrzu bajkowego wschodniego zamku. Samo wnętrze ma coś tak nie-realnego, że się czuje, że to bajka i fantazja, ale tak świetnie jest oddany nastrój trwogi, tam panującej. Jakież galerie, schody, mostki, całość wnętrza kuliasta, postacie biegają zgóry nadół i zpowrotem, gonią się i migają za filarami. Bajeczna wizja, to, co właśnie chciał autor.

Reżyser kinowy — to mocarz, mogący stworzyć swój urojony cały świat. Jest zupełnie inny od reżysera teatralnego, skrepowanego przez autora. Autor narzuca pewnego rodzaju dekoracje, jego ludzie, to typy już gotowe, określone słowami, które mówią, zarysowane wyraźnie charaktery, które tylko powier-

chownie można zmienić, bo treść ich myśli jest podana. Reżyser kinowy, gdy otrzymuje scenariusz, może go różnie zobrazować. Rozporządza bez porównania większym materiałem, niż teatr, może dokonać szeregu zmian, może obraz dowolnie inscenizować, pozornie wytknięte typy różnie ująć, ale przede wszystkim w dziedzinach fantastycznych jest twórcą. Nierzadko bywa, że sam pisze scenariusz, wówczas jest niepodzielnym autorem filmu.

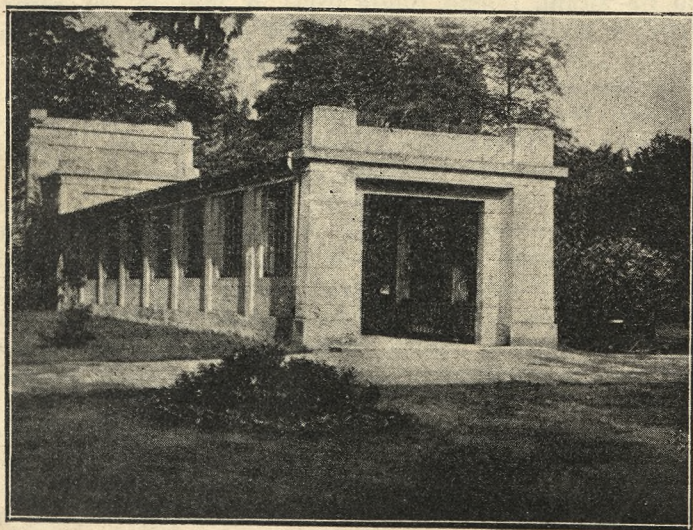
Reżyser musi być niesłuchanie wszechstronnym, znać się na wszystkim. Zaczynając od historii, historii stroju i obyczajów, malarstwa, musi znać geografję i etnografję, musi znać życie całej kuli ziemskiej we wszystkich przejawach. Nic też dziwnego, że wielkich — w całym tego słowa znaczeniu — reżyserów, można policzyć na palcach.

Zygmunt Knothé.

INOWROCŁAW

Inowrocław, położony w sercu Wielkopolski — ziemi Kujawskiej — mlekiem i miodem płynącej, jest zaliczony do przedniejszych miejsc kuracyjnych. Świetne połączenia kolejowe (Inowrocław leży na linii kolejowej Warszawa—Toruń—Poznań i Kraków—Katowice—Bydgoszcz—Gdańsk) przyczyniają się niemało do wysunięcia go na plan pierwszy wśród uzdrowisk polskich, posiadających źródła solankowe. Jest on oddalony od Warszawy o 7 godzin, od Krakowa — o 10, od Katowic — o 8, od Bydgoszczy i Torunia — o godzinę, od Poznania — o 2 godziny, biorąc pod uwagę pociągi pośpieszne, kursujące na liniach, wyżej wymienionych.

W Inowrocławiu, położonym na podziemnej skale solnej, zanim nastąpił zalew kopalni przez zród podziemny, eksploatowano sól w formie soli skalnej i warzonki w Państwowych Żupach Solnych. Po wylewie, jaki miał miejsce w 1907 roku, eksploatacja soli odbywa się tylko w formie warzonki. Produkcja, o której mowa, daje po wykrystalizowaniu się soli, t. zw. ług, — płyn o niewielkiej zawartości soli kuchennej, bogaty zato w sole o odmiennych składnikach, a w pierwszym rzędzie — w sól jodobromową.



Inowrocław — pijalnia wód

Solanka i ług, oto środki lecznicze w zakładach inowrocławskich, do których — celem upodobnienia ich do sławnych kąpieli nauheimskich i kissingeńskich — dodają płynny kwas węglkowy, wprowadzając go do wanian zapomocą specjalnych urządzeń.

Prócz kąpieli solankowych, ługowych i kwasowęglkowych posiada Inowrocław jeszcze i kąpiele borowinowe, wprowadzone w roku 1923. Borowiny dostarczają miejscowe łąki, obfitujące w związki żelaziste i sole surowe. Stosowane tutaj połączenie kąpieli solankowych i borowinowych okazało się w skutkach leczniczych nad wyraz w pomyśle szczęśliwe.

Pozatem z solanki inowrocławskiej wyrabiają na miejscu wodę do picia, która ma odpowiadać wodom kissingeńskim, i sól kąpielową, nieustępującą w niczem solom zagranicznym.

Rozbudowany w ostatnich latach Zakład Kąpielowy mieści w sobie 60 kabin kąpielowych pojedynczych i podwójnych, pozatem znajduje się tutaj specjalny zakład dla kąpieli borowinowych (14 łazienek).

Kąpiele solankowe i borowinowe ogrzewane są zapomocą pary, solanka doprowadzona jest do Zakładu, wprost z Żupy Solnej, zapomocą rur. Niedaleko od Zakładu znajdują się kąpiele słoneczne, zaopatrzone we wszystkie urządzenia natryskowe i sprzęty potrzebne do ćwiczeń gimnastycznych, oraz kryty deptak, pijalnia wód i kefiru.

W Zakładzie Kąpielowym mieszczą się poczekalnie, hole i specjalne pokoje wypoczynkowe.

Zbawienna w skutkach przy chorobach dziecięcych kuracja solankowa spowodowała założenie w Inowrocławiu specjalnego zakładu dla dzieci, który pozostawał dawniej pod protektorem niemieckiej pary cesarskiej, a dzisiaj przeszedł pod zarząd uzdrowiska i nosi miano Zakładu Imienia Marszałka Focha.

Inowrocławskie kąpiele solankowe są wskazane przy zapaleniu stawów i połączonych z niem ciępieniami organicznych, przy reumatyzmie, chorobach skórnych, nerwobólach, cierpieniach kobiecych, opłucnej, błony brzusznej, oddechowych i sercowych (kuracja nauheimska).

Sezon w Inowrocławiu trwa od 1 maja do 1-go września.

Kąpiel solankowa kosztuje 2 zł., borowinowa 5 zł., kwasowęglkowa 3 zł., opłata kuracyjna 15 zł. sezonowo, pokój z całodziennym utrzymaniem waha się w cenie 12 złotych.

Zakład Kąpielowy położony jest w olbrzymim parku, bogatym w stare drzewa. Ślicznie utrzymane kwietniki, staw, na nim łódzie, dające możność wiosłowania, place tenisowe, muzyka, przygrywająca dwa razy dziennie, przyczyniają się do urozmaicenia życia, tak nieraz w miejscach kuracyjnych monotonnego. Bliskość miasta (Zakład Kąpielowy oddalony jest od centrum o 1/2 kilometra) dostarcza rozrywek, jako to: koncertów, teatru i widowisk świetlnych. Po między Zakładem, a miastem, w oczekiwaniu linii tramwajowej, która ma służyć za stałe połączenie, kursuje autobus.

Tak miasto, jak i uzdrowisko Inowrocław w ostatnich latach powojennych rozwija się z roku na rok. Samo miasto, czyste i ładnie zbudowane, liczące 30,000 mieszkańców, ma doskonale zaaprowidowane sklepy, restauracje, kawiarnie i cukiernie.

Rynek miejscowy obfituje w doborowe jarzyny, owoce i cudowne kwiaty, których obfitością i wspa-



Inowrocław — kąpiele borowinowe

niałością odmian słusnie szczytą się miejscowe zakłady ogrodnicze. Poziomki leśne, czereśnie, truskawki i wszelkie inne owoce, oraz nowalje dowożone bywają trzy razy tygodniowo do miasta z pobliskich wsi i majątków, których wzorowa gospodarka służyć może za przykład każdemu. To też łatwość nabycia pierwszorzędných produktów skłania niejednych do prowadzenia własnej kuchni, co szczególnie dla osób, wyjeżdżających na kurację z dziećmi, jest wygodne i praktyczne.

Okolice obfituje w ciekawe wycieczki.

Zwiedzenie Torunia, Gniezna, Kruszwicy, położonej nad Gopłem, w którego wodach cudownych przegląda się historyczna Mysia Wieża, — nie przedstawia dzięki doskonałej komunikacji, najmniejszej trudności.

W Domu Kuracyjnym odbywają się dwa razy tygodniowo wieczory taneczne. Miasto skanalizowane, posiadające instalację elektryczną i gazową, oraz tramwaj, kursujący z dworca kolejowego przez główne arterje, dostarcza kuracjom pokoi, zapobiegając głodowi mieszkaniowemu; pozatem w dzielnicy, jaka łączy Inowrocław z Zakładem Kąpielowym, jest szereg willi, a w nich pensjonaty i pokoje do wynajęcia. W samym mieście znajduje się zakład kąpielowy „Piast“, w którym kuracjusze mają na miejscu hotel, kabiny kąpielowe, wszelkie zabiegi i opiekę lekarską.

Liczne hotele, miejscowi i przyjezdni lekarze, masażyści i masażystki — składają się na całość, nie pozostawiając nic do życzenia.

Całkowite utrzymanie dzienne, wraz z mieszkaniem, kąpielą, wszelkimi zabiegami leczniczymi i opieką lekarską kosztuje 20 zł. od osoby.

Miejscowi i przyjezdni lekarze, masażyści i masażystki fachowo wyszkoleni, uzupełniają aparat leczniczy, doskonale zmontowany i czynią zadość wszelkim potrzebom, związanym ze skuteczną kuracją. W. D.

UNIwersYTECKA SZKOŁA PIELEŃNIAREK I HIGJENISTEK
W KRAKOWIE,

otwiera nowy kurs dn. 1 września b. r. Nauka trwa 2 lata; przyjmuje się tylko internistki. Wykształcenie: 6 klas gimnazjalnych, lub równorzędne.

Zgłoszenia: Dyrekcja Uniwersyteckiej Szkoły Pielęgniarek i Higienistek.
Kraków Kopernika 23

ODPOCZYNEK PO PRACY CODZIENNEJ

Często słyszymy narzekania na to, że lato mamy krótkie, że nie dość w niem dni słonecznych, a prawdziwie gorących zamało, ażeby wygrzać się można było i o przykrościach zimy zapomnieć. Utyskiwania te nie pozabawione są słuszności. Od lat kilku lato mamy rzeczywiście niepogodne, a o dokuczliwych upałach wspominają już tylko ludzie starsi, bo młodsze pokolenie wcale ich nie doznało. Każda rzecz rzadka ceniona jest wyżej od rzeczy zwykłej, obfitej, dostępnej dla wszystkich i na każde żądanie, zdawałoby się, więc, że i te nieliczne dni w roku, w których z dobroczynnego wpływu słońca korzystać nam dozwolono, powinniśmy uważać za cenny dar natury, i używać ich rozkoszy w całej pełni. Obserwacja wskazuje nam na objawy wprost przeciwne. To, co skarbem nam jest prawdziwym, marnujemy z lekko-myślnością rozrzutników, nie myślących o jutrze,

Pierwsze dni słoneczne wyciągają ludzi z ich mieszkań. Roją się główne arterje miasta od dam, prezentujących nowe, jasne kostjумы i ostatnie krzyki mody, w postaci niebywałych kapeluszy, suną obok nich uśmiechnięci gentlemen w garniturach prosto z igły, z ukwieconą butonierką; tłoczno w Alejach od wózków dziecinnych i bon; dziecinne samochody i welocypedy najeżdżają co chwila na spacerujących; kółka, piłki i goniący za nimi ich nieletni właściciele płaczą się pod nogami przechodniów, a na werandach kawiarni wszystkie stoliki zajęte.

Mieszkańcy miasta rozkoszują się dniem pogodnym! Suną noga za nogą w zwartym szeregu dwiema, idącymi naprzeciw siebie, kolumnami. Ścisk nie pozwala nikomu na ruch szybszy, idą więc zgodnie, wdychając kurz ulicy, zapach benzyny, płynący z jezdni, zapach perfum przeróżnych, zmieszany z wyziewami ciał stłoczonych... Idą, zamieniając uśmiechy i ukłony przy spotkaniu, radzi, że ten i ów podziwiać mógł ich elegancki wygląd. Przechadzka w tych warunkach męką jest prawdziwą, znużeni zasiadają więc na werandzie cukierni i już teraz, jako widzowie, biorą udział w marnowaniu czasu, któryby z pożytkiem dla zdrowia wykorzystać mogli, gdyby odstąpić chcieli od przyjętej zdawna i bezmyślnie powtarzanej rutyny.

Przekleństwem cywilizowanego życia jest niemożność pracowania na otwartym powietrzu i konieczność przebywania w zamkniętej przestrzeni. Na to poradzić trudno, i poddać się temu musimy, ale zato czas wolny od pracy przynajmniej zużywajmy na to, ażeby powetować szkodę, którą organizmowi naszemu to przymusowe zamknięcie wyrządza.

Każdy z mieszkańców miasta powinien bezwzględnie uprawiać jakiś sport, odpowiedni do jego wieku, płci i stanu zdrowia.

Miasto nasze—w porównaniu ze stolicami innych krajów—stoi pod względem urządzeń, sprzyjających uprawianiu sportów, niżej znacznie, ale jednak i to, co w tym kierunku zrobić zdołano, daje chętnym możliwość korzystania z dobroczynnego wpływu ćwiczeń fizycznych. Mamy place tenisowe, mamy boiska, do gry w piłkę przeznaczone, i mamy, nade wszystko, naszą Wisłę, gdzie pływać i wiosłować może każdy, kto do tych sportów ma zamiłowanie.

Sporty wodne na największe zasługują rozpoznać, odbywają się, bowiem, w idealnych dla zdrowia warunkach. Powietrze, pozbawione kurzu, przestrzeń, chłód, idący od wody w dniu upalnym, zbawienny wpływ kąpieli rzecznej i gimnastyka, jaką jest pływanie, czy wiosłowanie — to niewyczerpane źródła rozkoszy i pożytku dla zdrowia naszego organizmu.

W sporcie wodnym nie tylko ciało, ale i ducha naszego hartujemy i odporniejszym czynimy na wszelkie szkodliwe czynniki zewnętrzne.

Spokój, cisza, oderwanie myśli od zajęć i trosk codziennych, kojący wpływ otaczającej natury, widok zieleni drzew, niebo, gra światła na fali, wszystko to przenosi nas w świat lepszy, w którym szlachetniejsze myśli i uczucia, i człowiek po kilku takich godzinach odpoczynku powraca naprawdę odrodzony, ażeby z nowym zasobem sił i energii stanąć do pracy i codziennych obowiązków.

Kogo uprawianie sportów nie nęci, lub nie jest mu z tych, lub innych przyczyn dostępne, niechaj czas swobodny spędza na pracy w ogrodzie, na przechadzkę lub kąpiel powietrzną. Domy, budowane w ostatnich latach na tak zwanych kolonjach, mają swoje niewielkie ogródki, co daje możliwość ich mieszkańcom pracować na świeżym powietrzu. Praca taka lepsza jest od gimnastyki, bo z większą się do niej bierzemy ochotą, ponieważ rezultat jej widoczny cieszy nas i zajmuje.

Praca fizyczna, zwykle jednostajnego wymagająca ruchu, uwalnia myśl od natężenia, daje więc wypoczynek umysłowi i nerwom. Obserwacje wykazały, że pot, wydzielający się przy pracy fizycznej na świeżym powietrzu, zawiera w sobie bardzo wielki procent jadu, powodujących niedomagania w organizmie, wydalenie więc tych czynników chorobotwórczych zbawienny wpływ na organizm cały wywiera, a tem samem praca fizyczna — z punktu widzenia higieny — ze sportami współzawodniczyć może skutecznie.

Mniej pożyteczna, bo nieco jednostronne stanowiąca ćwiczenie, jest przechadzka piesza, ale i ta, o ile za jej teren obieramy sobie okolicę, oddaloną od miasta o kilka kilometrów, a więc przestrzeń rozległą, gdzie powietrze jest czyste, pozbawione kurzu i wylęgów, gdzie gwar i hałas nie szarpie nerwów, gdzie widok drzew, łąk i łąków zboża daje nam poczucie bliskości z otaczającą nas przyrodą, — dużo dobrego przynieść nam może.

Przechadzkę połączyć czasem można z kąpielą rzeczna i powietrzną. a wtedy pożytek jej zwiększa się znakomicie, bo oprócz ruchu na świeżym powietrzu, mamy oczyszczenie skóry i zahartowanie ciała przez wpływ wody i oddychanie skórne.

Rozszerzenie sieci tramwajowej i obfitość pociągów podmiejskich ułatwiają wydobycie się z murów miasta, a choć najbliższa okolica stolicy naszej nie jest może specjalnie piękna, to jednak dobre powietrze i ciszę znaleźć i odpocząć w niej można.

L. Gerlachowa.



KONKURS WYSTAW SKLEPOWYCH

Trudne, zaiste, zadanie mieli sędziowie tego konkursu: wprowadzić firmy wystawiające były podzielone na grupy, lecz nawet w poszczególnych grupach była taka różnorodność specjalności, że mimowoli przychodziło na myśl Sienkiewiczowskie porównywanie lampy i ogórka. Pozatem sklepy firm były tak rozrzucone po całym mieście, że nawet po szybkim przebyciu taksówką całej, dzielącej je, przestrzeni, trudno było zapamiętać detale i zrobić słuszne porównanie. Za błąd kardynalny uważam dowolną ilość okien, które poszczególne firmy zgłaszać mogły. Firmy, mające duże lokale, były automatycznie mniejsze interesy. Wprawdzie, robiąc wystawę w kilkunastu oknach, co przypomina zawsze różne paryskie „Louvre'y“, „Bon Marché“ i t. p., albo berlińskie „Waarenhausy“, nie można wystawić samych arcydzieł, jednak wytrzymało to wiele pierwszorzędnych firm, mających szczupłe wystawy, od wzięcia udziału w konkursie. Jeżeli chodziło o zachętę do kupna przez działanie na smak, to właściwie tylko bracia Pakulscy — w jednym oknie — dali prawdziwą „ucztę dla oczu smakoszy“, wystawiając oprócz win i likierów, ananasów i jabłek, wspinały trzy ryby: szczupaka w galarecie, łososia i sandacza w majonezie. Znane firmy branży spożywczej przeważnie tylko fantazyjnie dekorowały swe witryny. Najoryginalniejsze pomysły były firmy Fuchs: dom, w którym się mieściła ta fabryka, otoczony małymi domkami przedmieścia, a przed nim okropny bruk, do złudzenia przypominający „kocie łby“ naszych dalszych ulic, i samochody, przewożące słodkie wyroby fabryki.

Pozatem firma Briesemeister wystawiła wspinałką karawanę słoń, (aż siedm sztuk) od olbrzymów do karzełek, przewożących herbatę, — o ile firma handluje herbatą cejlońską, jest to nawet duża dokładność etnograficzna, do chińskiej — odpowiedniejsze byłyby wielbłądy. A. Jechna udekorował dwa okna chińczykami i chinkami, parawanikami i domkami, było to ładne, lecz oba ginęły w detalach. Fruziński operował tylko efektami świetlnymi, zawieszając w każdym z licznych okien grona różnokolorowych lampek, co było ładne, lecz nic nie mówiło o cukierniczych wyrobach.

Bracia Ilowieccy dali bardzo gustowną dekorację, na którą się złożyły same cukierki różnych gatunków, — co właśnie jest najlepszą ich reklamą.

Nie mam zamiaru wyliczać tu wszystkich firm, biorących udział w konkursie. Muszę jednak wspomnieć o B. Hersem, którego osiemnaście okien, wypełnionych najrozmaitszymi towarami, od męskich fraków do damskich pończoszek, — były stale otoczone tłumem; o wspaniałych materiałach Efraima: — oczy pań z poządlnością spoglądały na te tkaniny z bajek Scheherazady, o szeregu nęcących oko wystaw sklepów przy ulicy Bielańskiej: Goldkopf, Grünsztejn, Cwejko, — o ślicznym, małym oknie, białym, jak śnieg, Wedernikowa; — szkoda, że wspaniałe wystawy br. Jabłkowskich i małe arcydziełko, z prawdziwie paryskim gustem urządzonych okien Myszkowskiego, były poza konkursem — brakło punktów porównania.

W dziale obuwia, w nowym sklepie p. L. Leńczyńskiego, obok jego artystycznych wyrobów leżał

„medal paryski“, nagroda z ostatniej wystawy, najlepsza propaganda Polski zagranicą. Dobrze gospodynie godzinami wystawały przed oknami K. Bruna, — amatorki ładnej biżuterji chciwie oglądały wystawę firmy „Jubilart“ (dawniej Mankielewicz), — a wszyscy w ogólności — panie i panowie — zachwycali się bajkowymi kwiatami „Złocienia“. Tylko raz jeszcze wracam do swego, — jak tu wybierać i porównywać: biżuterję i rondle, kwiaty i platery, perfumerję i porcelanę, — bo jeśli nawet brać za podstawę do porównania tylko gust przy urządzeniu wystawy, to i tu różnaitości zbyt duża musi stanąć na przeszkodzie. *Pani Elżbieta*



CZERWIEC W GOSPODARSTWIE DOMOWEM

Dla pań, mieszkających w mieście, cały czerwiec jest najpracowitszym bodaj miesiącem: przygotowania do wyjazdu na letnisko, lub na kurację, zabezpieczenie mieszkania, a raczej znajdujących się w niem mebli, dywanów i ubrań od zniszczenia przez mole i zbyt silną operację słońca, — pochłaniają im niemal czas cały. Wobec zupełnego braku urządzeń na letniskach należy zabierać ze sobą tyle rzeczy, — a zapomnienie każdego drobiazgu grozi tylu niewygodami, że mamy prawie wrażenie, iż cały dom, całe gospodarstwo na nowo co roku zakładać jesteśmy zmuszone. Nietylko różne meble i sprzęty, garnki i graty kuchenne musimy przewozić z sobą, jeszcze trzeba pomyśleć o zapasach produktów suchych, przypraw, korzeni, konserw, gdyż na naszych letniskach podmiejskich albo ich wcale dostać nie można, lub też ceny na nie są niesłychane, a same produkta najczęściej zeszłoroczne, stęchłe, zepsute, nie do użycia.

Meble, po starannem wytrzepaniu, (kryte mokietą, lub pluszem najlepiej trzepać przez zwilżone i mocno wyżęte płótno: cały kurz doskonale na niem osiada) ubieramy w pokrowce; dywany, chociaż całą zimę czyszczone odkurzaczem, jednak raz chociaż do roku powinny być wyczyszczone i wybite doskonale na trzepaku, dla przesuszenia ich dokładnego, poczem zwijamy je w rolkę, (dobrze w tym celu mieć długi, gruby wałek, na który się je nawija, co je chroni od zgniecenia). Zamiast przykłej naftaliny, przekładać je skropionymi terpentyną papierami, przesypać tytoniem — machorką, a najlepiej przełożyć obficie zieleniem „bagnem“, które najlepiej chroni od moli.

Po zwinięciu, oszyć szczelnie grubym płótnem. Na przedmioty z brązu, zegary i lampy stojące uszyć z grubego papieru kołpaki, które doskonale chronią od much, kurzu i pajaków. Obrazy w złożonych ramach zawinąć w pokrowce płóciennę, a w braku ich — w gazety; fotografie i sztychy poodwracać do ściany, aby nie płowiały. Rośliny pokojowe, o ile ktoś zostaje w mieszkaniu, przenieść na balkon; w przeciwnym razie oddać je na przechowanie ogrodnikowi. Nakoniec okna, po zdjęciu firanek i portjer, zamalować gęsto rozpuszczoną w wodzie, lub wódce, kredą,

aby promienie słoneczne nie wypalały zwierciadeł i tapet.

Firanki wszystkie przed wyjazdem uprać, lecz nie krochmalić, tę ostatnią robotę pozostawiając na jesień: przedłuży to ich służbę na tyle miesięcy, ile niekrochmalone w ciągu lat kilku będą leżały. Poza tem przed wyjazdem, jeżeli ten nastąpi dopiero w końcu miesiąca, należy zrobić zapas konfitur z tych owoców, które już dojrzeją, t. j. truskawek, czereśni, poziomek, aby uniknąć niepotrzebnego, kłopotliwego, a zawsze niepewnego przewożenia słoje.

Panie, mieszkające na wsi, nie mają tej okropnej wędrowności narodów — wyjazdów na letniska. Jeżeli jadą gdzieś na kurację do wód, to zabierają tylko garderobę; jeśli zimą przyjeżdżają do miasta, to stają w hotelu, lub pensjonacie, i znowuż tylko przedmioty, służące do osobistego użytku, im towarzyszą. Czerwiec im przynosi inne zajęcia. W tym miesiącu jest najwięcej młodego drobiu, potrzebującego starannej opieki i pielęgnowania, — nie wszędzie są umiejętnie i pilne ptaszarki, i same panie często zaglądać muszą do tej młodzieży, której pomyslny chów stanowi o całorocznem zaopatrzeniu własnej kuchni, a w wielu wypadkach i o dochodowości kobiecego gospodarstwa.

Szczególniej indyki i perliczki wymagają dużej staranności i nieraz walki z przestarzałymi przesądami starych ochmistrzyń, które, opychając indyczętą jajami na twardo i twarogiem, gubią całe ich stada.

Indyczątko już po paru dniach powinno jeść wraz z kaszą jaglaną siekaną trawę, — wszelkie gatunki razem mieszane, — zsiadłe mleko i osypkę z otrąb, tak zahartowane, będzie odporniejsze na wszelkie choroby; nie należy zapominać, że sól jest trucizną dla indyków, jak cukier dla kaczek, i że pietruszka dla wszelkiego drobiu jest szkodliwą.

Prace w ogrodzie i warzywniku ograniczają się do pilnego pielienia i podlewania.

Pomidory należy palikować i obcinać, aby zwiększyć zbiór i przyspieszyć dojrzewanie owoców. Szparagarnię, po ukończeniu wycinania szparagów — co należy uczynić przed 15 czerwca, aby nie wysilać krzaków, — starannie opleć i podlać, po deszczu — jakimś płynnym nawozem. Tulipanom i narcyzom po przekwitnięciu pościąć liście, aby cebule się do jesieni dobrze wzmocniły.

Przekwitłym bzom poucinać kiście, aby się krzaki nie wysilały na formowanie zupełnie nieużytecznych nasion: jest to warunek obfitego kwitnienia na rok przyszedły. W czerwcu też rozpoczyna się kampanja zaopatrywania domu w konserwy na zimę. Przedewszystkiem więc konserwy ze szparagów. Jest to jarzyna najlepiej zachowująca smak właściwy i aromat w konserwie, toteż należy jej przygotować jak najwięcej, czy to w blaszankach, tańszych wprawdzie, lecz służących na jeden raz tylko, czy też w szkle, które, o ile nie zostanie zbite, lata całe służyć może.

Sterylizować należy w zakrytym kotle, lub w aparatach „Wecka“, (mamy je już krajowego wyrobu), gdyż gotowanie w kompotjerkach w rondlu, tak zachwalane przed wojną, nie gwarantuje zupełnej sterylizacji. Wierzchnia warstwa konserwy już po kilku tygodniach psuć się zaczyna.

Po szparagach następuje kolej groszku i młodej, zielonej fasolki. Konserwować groszek mogą tylko panie, mające go z własnych plantacji, w mieście za-

wsze lepiej się opłaci kupić gotowe konserwy. Karotka na konserwy jest dobra tylko czerwcową, później jest już za duża, za twarda i nabiera zbyt wyraźnego smaku marchwi. Rozpowszechnił się u nas zwyczaj suszenia jarzyn dopiero jesienią i to późną jesienią, kiedy takowe wyjmują z ziemi i przenoszą do piwnic. Jest to zupełnie mylny system: młode jarzyny są najsmaczniejsze, najbardziej aromatyczne i najłatwiej ususzyć się dają, a jeżeli ich przy suszeniu więcej ubywa, to zato otrzymujemy wyborny produkt.

Więc například koperek, czy to solić, czy suszyć należy w czerwcu, kiedy jeszcze nie wypuścił twardych łodyg kwiatowych; toż samo estragon, który, zresztą, w naszej polskiej kuchni bardzo rzadko bywa stosowany i przeważnie tylko do zaprawy octu się używa. Młodziuchne strączki groszku, tak zwane na kresach „płaskórki“, młoda fasolka, listki pietruszki, listki selerów, grubsza karotka, krajana drobno, wszystko to, w czerwcu ususzone, dodaje się potem do późniejszych jarzyn, aby uformować mieszaninę, używaną na smak do zup i rosółów i na „julienne“.

Nakonec, konfitury i syropy, Agrest, aby był zielony, należy usmażyć przed św. Janem, przyczem gatunek, brany na konfiturę, musi być koniecznie zielony, bo żaden święty nie potrafi z żółtego, białego, lub czerwonego agrestu zrobić zielonej konfitury; w tym samym czasie należy robić sok surowy również z zielonego agrestu, — doskonale w kuchni zastępujący kosztowniejszy sok cytrynowy.

Na konfitury należy używać pierwszy zbiór truskawek, poziomek i malin, gdyż i owoc jest dorodniejszy, i nie tak łatwo się rozgotowuje. Natomiast na syropy, marmelady i nalewki bierzemy owoc ku końcowi urodzaju, gdyż jest miękniejszy, słodszy, bardziej soczysty,

Panie, które nie sprzedają mleka słodkiego, lecz same je przerabiają, powinny w czerwcu zrobić zapas masła solonego na zimę: jest ono mniej tłuste od sierpniowego, lecz smaczne, trwałe i odznacza się ładnym kolorem. W czerwcu robią też najwyborniejsze sery, tak zwane litewskie, czy żmudzkie, przyrządzane na sposób serów szwajcarskich i doskonale rok cały się konserwujące.

Pani Elżbieta

DOBRE RADY

Asparagus nie wymaga dużo starań, i jest rośliną bardzo trwałą — trzeba tylko wiedzieć, że nie znosi powietrza, stale zatem musi być w pokoju, często podlewany, a jeszcze częściej skrapiany. Nie powinien stać na słońcu, ani blisko kaloryferów. Przesadzać trzeba na wiosnę w doniczkę większą, niż poprzednią, w ziemią wrzosową, pomieszaną z inspektową.

* * *

Wanny emaljowane czyści się mieszaniną szarego mydła z piaskiem, rozrobioną wodą gorącą, płócie wodą zimną, — wanny z blachy cynkowej czyści się ciastem, zarobionem z kredy ze spirytusem: natrzeć niem wanny, zostawić do wyschnięcia, wycierać szczotką, następnie kawałkiem miękkiej flaneli; będzie się lśnić, jak nowa.



SER ZAKOPYWANY

Litr najlepszej, gęstej śmietany postawić na brzegu blachy, lub w niezbyt gorącym piecu, aby się ogrzała do temperatury 28 stopni R., poczem wynieść na lód i zupełnie ostudzić. Przebrać w woreczek z bardzo gęstego płótna, zawiązać nad samą śmietaną. Wykopać dołek w ogrodowej czarnej, a nie piaszczystej ziemi, wyłożyć go płótnem, na to położyć woreczek ze śmietaną, przykryć płótnem, aby się ziemia do środka nie przedostała. Zarzucić dół ziemią, udeptać ją i na wierzchu położyć jeszcze kamień. Po 24 godzinach dół odkopać, woreczek ostrożnie wyjąć, ser wyłożyć jeszcze ostrożniej, aby go nie złamać. Jest to wyborny ser, nieustępujący najlepszym francuskim serom śmietankowym. Stać długo nie może, gdyż gorzknieje.

GOMÓŁKI ŻMUDZKIE

Resztki wszelkich ostrych serów: szwajcarskiego, holenderskiego, śmietankowego, litewskiego, lub innych, utrzeć na tarce, zmieszać z trzykrotną ilością dobrze odcisniętego, nieprzeżranego twarogu, dodać na kilo takiego sera łyżkę masła i parę dużych łyżek śmietany, trochę soli i sporą garść kminku, dać postać 24 godziny w misce, lub garnku. Wyrobić dobrze, uformować z tej ilości pięć sporych gomółek. Obsuszyć je godzin kilka na powietrzu, poczem ułożyć w szpiarni na desce i przykryć grubą warstwą liści chrzanowych. Po paru dniach opleśnią po wierzchu. Pleśni tej nie skrobać, tylko ostrożnie umyć gomółki w serwatce i obsuszyć na powietrzu. Znowu przykryć liśćmi i dać opleśnić. Powtarzać to ze trzy razy. Po ostatnim obsuszeniu będą wyborne: suche po wierzchu, a soczyste i ostre w środku.

OD 1 CZERWCA ZACZNIE WYCHODZIĆ BOGATO
ILUSTROWANY MIESIĘCZNIK P. T.

„MODNE ROBOTY KOBIECE“

Każdy zeszyt stanowić będzie oddzielną całość i da sposoby wykonania najnowszych rodzajów robót kobiecych, oraz wzory naturalnej wielkości.

TRZY PIERWSZE ZESZYTY PRZYNIOSĄ:

„NAJNOWSZE SPOSOBY OZDABIANIA SUKIEN“ — aplikacja, haft, liworyzacja.

„NAJMODNIEJSZE SZALE“ szydełkowe i na widełkach.

ARTYSTYCZNE TKACTWO BEZ WARSZTATU.

Cena zeszytu 2 Zł.

Adres Redakcji — Krakowskie Przedmieście 99.

Adres Administracji — Górnośląska 19.

SOK AGRESTOWY BEZ CUKRU

Między 15, a 20 czerwca zbierać twarde jeszcze zupełnie agrest, obrać z szypulek, utłuc w móżdżerzu, lub prędko przepuścić przez maszynkę „tutti frutti“, wycisnąć sok przez worek z grubego płótna. Miazgę utłuc raz jeszcze, zalać wodą tylko tyle, aby objęła, potrzymać noc całą, wycisnąć powtórnie. Zlać sok ten do dużych butli, lub słoików, zawiązać pergaminem i postawić na słonecznych oknach. Po sześciu tygodniach, gdy fusy na dno opadną, a sok się zupełnie sklaruje, zlać ostrożnie, nie mącąc, sok czysty do butelek, wkładając do każdej po kawałku żółtej skórki skrajanej z cytryny, (z pół cytryny na każdą butelkę) zakorkować, umaczać korek w parafinie i trzymać leżąc w piasku w piwnicy. Sok taki może stać lat kilka i zczasem nietylko się nie psuje, lecz staje się coraz podobniejszy w smaku do cytrynowego. Używa się do herbaty, na galarety i w kuchni; wszędzie prawie może zastąpić cytryny.

KOTLETY CIEŁĘCE Z MÓŻDŻKIEM

Na sześć ciętych kotletów z kostkami,—jeden mózdek. Kotlety, zgrabnie uformowane i zbite na kilka godzin przed smażeniem, aby przy smażeniu się nie kurczyły i nie traciły kształtu, zrumienić z obu stron na maśle, posolić dopiero po usmażeniu, aby nie poczerwieniały. Na metalowy półmisek wylać masło, w którym się smażyły kotlety, na niem zręcznie je ułożyć, kostkami do środka. Mózdek, oczyszczony z plewki, ugotować w osolonej wodzie z łyżką octu, utrzeć na miseczce, dodać utartą na tarce i przesmażoną z łyżeczką masła cebulę, garstkę usiekanej pietruszki, zaprażkę, zrobioną z niedużej łyżki maki i filiżanki rosółu, lub wody, osolić do smaku, opieprzyć lekko, na koniec wbić dwa jaja. Utrzeć doskonale tę masę, pokryć nią kotlety, osypać tartą bułeczką i wstawić na 10 — 15 minut do gorącego pieca dla zrumienienia. Zamiast zaprażki można użyć filiżankę gęstej, niezbyt kwaśnej śmietany.

GŁÓWKA CIEŁĘCA ZE ŚLIWKAMI

Główkę ciętą, starannie oczyszczoną i wymoczoną, ugotować na miękko, tak aby wszystkie kostki zupełnie odstały, pokrajać na zgrabne kawałki, ułożyć na metalowym półmisku w taki sposób, aby wszystkie kawałki leżały skórą do góry, po bokach ułożyć uszy, w środku mózdek i pokrajany w plasterki, po zdjęciu białej skórki, ozorek. Ugotować dwadzieścia deka dobrych suszonych śliwek. Łyżkę masła zasmażyć z łyżką maki, rozprowadzić trzema szklankami rosółu z główki, zagotować, włożyć śliwki (bez soku) zakolorować karmelem, wcisnąć sok z pół cytryny. (kto woła, może włożyć cytrynę, pokrajaną w plasterki) osolić sos, dodać, kto lubi, cukru do smaku, zalać tym sosem główkę, obłożyć wkoło

grzankami przysmażonemi z bułki i gorące podawać. Bardziej elegancko można podać tę smaczną potrawkę, układając ją w formie z francuskiego ciasta, upieczonej, jak na „vol au vent“. W takim razie grzanecki są zbyteczne, lecz całą potrawkę należy wsunąć na kilka minut do pieca, aby się ciasto dobrze rozgrzało. Część sosu można podać oddzielnie w sosierce.

Pani Elżbieta

KORESPONDENCJE

Do Sz. Prenumeratorek „Bluszczu“. Redakcja „Bluszczu“ zawiadamia, że z wszelkiego rodzaju porad, nie wyłączając kosmetyki, będą mogły korzystać wyłącznie prenumeratorki „Bluszczu“. Wobec tego prosimy uprzejmie Sz. Panie o podawanie swych adresów na listach, kierowanych do nas z wszelkiego rodzaju zapytaniami.

Pani Z. S. Radomska. W numerach 49—50 „Bluszczu“ z roku 1925, podaliśmy dokładną naukę batiku. Co do wzorów, są one indywidualne i każdy sam je stwarza, te o których mowa, możemy przesłać Sz. Pani na żądanie — po otrzymaniu odpow. należności.

Sanatorium wojskowe w Rajczy. Listem odpisać nie mogliśmy — nie podała nam, bowiem, Sz. Pani nazwiska swego. Włóczka na modną dziś robotę na widełkach, doskonale się nadaje. Szale są bardziej noszone, niż chustki — przy wszechwładnej robocie widełkowej, łączonej jedwabiem w różne desenie. Można też robić innym ściegiem, ale wtedy trzeba wybierać ścieg gęsty.

Z DZIEDZINY KOSMETYKI

Zosia Małopolanka. Przewlekły katar nosa może jedynie lekarz specjalista wyleczyć. Do usunięcia gęsiej skórki, dobre są kąpiele w wodzie gorącej, zmywania. Do kąpieli dodawać proszę sole aromatyczne — jedną kostkę na kąpiel, do zmywania — na miednicę 2 łyżki boraksu i 2 łyżki gliceryny, zmyć mydłem płynnym, potem wcierać olejek różany. Jeśli nie odnosi żadanego skutku, proszę napisać po 2 miesiącach. Lżejsze przypadki leczą się bez śladu po sześciu tygodniach, silne wymagają środków ostrzejszych. Środek na włosy i brwi może być wysłany, stosować 2 miesiące. Adres dokładny. Obcięcie włosów nie wpływa na ich wzmocnienie bezpośrednio, jedynie ułatwia dostęp powietrza, mycie i leczenie. Przy łojotoku głowy daje często dobre wyniki. Środka na brwi nie wolno stosować na rzęsy.

Stanisławie i Czytelnicze z Sandomierskiego. Piegów na stałe pozbyć się nie można. Należy co najmniej 2 razy do roku po 2—6 tygodni wcierać masę na piegi. Czytać ogólną odpowiedź na piegi. Na włosy do mycia jajeczka. Wysłać można, cena 3 zł. Proszę o dokładny adres, porto 1 złoty.

L. K. Na utrzymanie koloru jasnych włosów proszę spróbować spłókiwać włos rzymskim rumiankiem: 4 łyżki rumianku rzymskiego, łyżka wody utlenionej i łyżka octu. Do mycia włosów użyć jajeczka. Sposób użycia przy opakowaniu.

Danuta. Na łuszczenie się skóry „Mój Krem“. Po tylu zabiegach odtłuszczających naturalna reakcja musiała wystąpić w postaci łuszczenia się naskórka. „Mój Krem“ złagodzi i udelikatni Pani skórę. Najczęściej należy stosować w początkowych okresach rano i wieczorem. Następnie po kilku tygodniach tylko rano, ażeby w ten sposób pozostawić twarz bez kremu na noc, umożliwiając oddychanie skórne. Łojotok, — przeczytać ogólną odpowiedź.

Dr. J. ŚWITALSKA ZAWIADAMIA SVOJE PACJENTKI, IŻ W WARSZAWIE
ORDYNOWAĆ BĘDZIE DO PIERWSZEGO LIPCA, —
NASTĘPNIE ZAŚ WOJĄGU MIESIĄCA LIPCA PRZYJMOWAĆ BĘDZIE W GDYNI (POMORZE).

Czytelniczce we Lwowie. Na wzmocnienie brwi można spróbować ten sam „Mój płyn” co na wzmocnienie włosów. Nie wolno stosować tego samego płynu na wzmocnienie rzęs.

Witce. Na czasie ukaże się zawiadomienie o wyrobach higienicznych ołówków do ust i brwi, oraz różu. Na zadarty nosk narazie niema radykalnego środka, ws elki: maszynki uci- skające nie dają efektu. Masaż jedynie daje najlepsze rezultaty

L. K. Na zmarszczki, skoro pani zaczęła już używać „Mój Krem,” proszę zastosować kąpiele przemienne zimne i gorące 2 razy w tygodniu po 10 okładów, na litr wody 20 perełek, następnie wetrzeć „Mój Krem”.

Kolibry, oraz Czytelniczce M. J. Galarętkę Nr. 3 wysłamy. Proszę o dokładny adres. Czerwonosć nosa, czytać proszę ogólną odpowiedź. Zastosować galarętkę Nr. 3.

Stała Czytelniczka Bluszczu. Prywatnych listów nie wysy- lam, odpowiadam jedynie na listy prywatnych moich pacjentek. Zagadnienia seksualne, poruszone w liście, są bardzo ciekawe, jed- nak nie nadają się do odpowiedzi na łamach „Bluszczu”. Życie seksualne u dzieci poruszam w książce, która się ukaże pod tytu- łem „Kobieta nowoczesna we wszystkich okresach jej życia”. Za- kład ortopedyczny doskonały znajduje się w Poznaniu, niema potrzeby dla mieszkank Wielkopolski przyjeżdżać do Warszawy.

Stała czytelniczka „Bluszczu”. Polesie. Pani Kazimiera K. Na list tak obszerny niestety poradzić nie mogę. Z opisu—poważ- ne cierpienia; konieczne jest zbadanie przez ginekologa.

Samotna. Ślady po ospie bardzo trudne są do usunięcia, względną poprawę można osiągnąć zapomocą masażu, umiejętną ręką wykonanego. Światłolecznictwo daje bardzo dobre wyniki, obecnie najczęściej jest stosowane.

Stroskana matka. Na odległość leczyć nie można, koniec- z jest zbadanie lekarza chorób wewnętrznych, oraz lekarza—spe- cjalisty gardła i nosa. Przy upławach konieczne jest zbadanie gine- kologa. Bez zbadania mogę dać tylko ogólne wskazówki; jeśli orga- nizm córki jest warty, to niewolno sportować. Masaż ogólny może dać dobre wyniki, miejscowy lekarz rozstrzygnie, czy niema przeciwwskazania do masażu. Pocenie się—proszę przeczytać ogóln- e uwagi o poceniu się p. t. „Różyczka”. Czy powiększenie gru- czołu tarczycowego ma miejsce, może rozstrzygnąć tylko lekarz. Proszę przeczytać ogólne uwagi dla „Rozsądnej pacjentki”.

Hel. Mart. Na wybielenie — „Mój Krem”. Na włosy dobry środek do mycia włosów — mydło płynne dr. J. Świtalskiej. Na odmrożenia, o ile są małego stopnia, stosować gorące i zim- ne okłady, następnie wcierać „Mój Krem” do rąk. Przy odm- rożeniach silniejszego stopnia światłolecznictwo daje najlepsze rezultaty.

Pani Marta. Sterczące łopatki u dziecka można poprawić przez gimnastykę odpowiednią i masaż leczniczy, konieczne jest energiczne i staranne zajęcie się dzieckiem, gdyż później wada z wie- kiem się powiększa. Na odmrożenie lżejszego stopnia stosować gorące i zimne okłady, po 20 okładów codziennie wprzeciągu 2 mies. Następnie wcierać „Mój Krem” do rąk. W zadawnionych sprawach—światłolecznictwo daje b. dobre rezultaty. Na zmarszczki stosować „Mój Krem. Sposób użycia przy opakowaniu. Kąpiele przemienne „Mojemi perełkami.”

Bezimiennej z Włocławka. Na prywatne listy odpowiadam jedynie pacjentkom, u mnie przedtem leczonym. Usunięcie włosów tylko zapomocą elektrolizy, lub djatermji. Wszelkie pasty i depi- latory drażnią skórę, mają przykry zapach, a co najważniejsze, włosy po tem szybko odrastają. Na cierpienia ogólnej natury, jak to choroby wewnętrzne, lub kobiece, żadnych wskazań bez zbada- nia dać nie można.

Prenumeratorce Helenie. Dla dziecka pożądany jest wy- jazd nad morze, lub w góry latem, zależnie od wskazania ordy- nującego lekarza. Konieczne są oględziny lekarza-specjalisty od gardła. Narazie — zapobiegawczo — płókanie wodą utlenioną, lub chinizolem: łyżkę na szklanke wody, dwa razy dziennie. Hartować konieczne potrzeba. Rozpoczyna się hartowanie wiosną, wycierać początkowo na sucho, następnie wodą. Trzeba bardzo ostrożnie i umiejętnie działać.

Do Kosmetyki. „Mój Puder higieniczny”, „Moje mydło liljowe”, „Galarętkę na łojotok”, „Krem do rąk”, „Krem po gole- niu”, „Krem do pielęgnowania cery” (na skórę tłustą i na suchą), „Mój krem na opaleniznę”, „Jajeczka do mycia włosów”, „Perełki białe i różowe” (do pielęgnacji cery i biustu i t. d.) będą wysyłane prenumeratorkom „Bluszczu” bez przerwy w mie- siącach letnich.

UWAGA: Kroje modeli, umieszczonych w Do- datku Mód, dostarczamy po cenach następujących:
palto, lub suknia fantazyjna zł. 3,50
suknia zwyczajna „ 2,50
bluzka „ 2,00
formy dziecinne „ 2,00
bielizna „ 1,50

Wzory, umieszczane w zmniejszeniu w do- datku mód i robót, mogą być dostarczone w wiel- kości naturalnej po cenach następujących:
obrus — makata — ekran — zł. 2,50, poduszka — serwetka — zł. 1,50, drobne desenie — gr. 75.

Przy zamawianiu wzorów należy konieczne wy- mienić numer wzoru i rok, gdyż innych wzorów poza temi, które były umieszczane w „Bluszczu”, nie wy- syłamy.

Formy i wzory wysyłamy tylko po otrzymaniu przy zamówieniu należności w znaczkach pocztowych, lub przekazem.

KAŻDA DOBRA GOSPODYNI POWINNA POMYŚLEĆ O ZAPASACH ZIMOWYCH I KUPIĆ KSIĄŻECZKĘ P. T.

„Konfitury, kompoty i konserwy owocowe”

W opracowaniu p. ELŻBIETY.

CENA 1 zł. 50 gr.

Wysyła Administracja „ŻYCIA PRAKTYCZNEGO”, War- szawa, Krak. - Przedm. 99, po otrzymaniu należności przekazem, lub w znaczka ch pocztowych.

Czytelniczkom „Bluszczu” kosztów przesyłki nie liczymy.

Za zaliczeniem nie wysyłamy.

JAK ZDOBYĆ I ZACHOWAĆ PIĘKNOŚĆ I ZDROWIE

WSKAZÓWKI, CO ROBIĆ, ABY DO PÓŻNYCH LAT ZACHOWAĆ MŁODOŚĆ I URODĘ.

CENA 1 zł 50 gr.

Wysyła Administracja „ŻYCIA PRAKTYCZNEGO”, War- szawa, Krak. - Przedm. 99, po otrzymaniu należności przekazem, lub w znaczka ch pocztowych.

Czytelniczkom „Bluszczu” kosztów przesyłki nie liczymy.

ZA ZALICZENIEM NIE WYSYŁAMY.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ”. Sp. z ogr. odp.

Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA-OKOŁÓW (naczelnia) i MARJA PODHORSKA-OKOŁÓW
Redakcja i Administracja, Warszawa, Krak. Przedm. 99, tel. 239-40. Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „BLUSZCZ” Rymarska 8, tel. 244-18.